MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 13. WARSZAWA, 31 MARCA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

PO DNIU 23 MARCA

„W DZIEDZINIE polityki Nowy Świat okazał się twórczy: wymyślił prezydenta"— zauważa André Siegfried w swojej ogłoszonej niedawno, znakomitej książce o stosunkach gospodarczych, politycznych i kulturalnych w Ameryce Południowej i Środkowej [1]). Rzeczywiście, system konstytucyjny, zapewniający faktyczną władzę w państwie prezydentowi republiki — ów wynalazek amerykański — stanowi powszechną, charakterystyczną cechę urządzeń prawno-politycznych nowego kontynentu. Równoważony częściowo w Stanach Zjednoczonych przez wprowadzenie krótkiego, czteroletniego zaledwie okresu urzędowania prezydenta, przez ogólnie szanowany zwyczaj, zakazujący więcej aniżeli dwukrotnego piastowania tej godności, nakoniec przez obowiązującą zasadę podziału władz, zabezpieczającą niezależność ciał prawodawczych i sądownictwa—w tem czystszej natomiast formie ukazuje się w praktyce ustrojowej państw takich, jak Peru, Ekwador, Wenezuela, Argentyna. Trudno się przejąć poczuciem dumy narodowej na myśl o tem, że to amerykańskie pojęcie władzy prezydenta (bez istniejących w Ameryce Północnej ograniczeń) zawiera właśnie główną treść ideową przeprowadzanej dziś reformy konstytucyjnej w naszem państwie.

Do dziedzictwa dziejowego dawnej Polski twórcy nowej konstytucji nie sięgali: nie wydało im się wartościowe ani ciekawe. Wicemarszałek Car, główny referent ustawy konstytucyjnej w Sejmie, załatwił się z niem jednem zdaniem: „Wiemy, że zły ustrój może nawet rozstrzygać o niepodległości państwa, jak to było z Polską przedrozbiorową". Prezes Rady ministrów Kozłowski w zamieszczonem w „Gazecie Polskiej" oświadczeniu (nr. 83 z dn. 24 b. m.), mimochodem zatrąciwszy o przeszłość narodu, jako jedyną wskazówkę wydobył z niej „potrzebę innego ustroju, potrzebę gruntownej i głębokiej zmiany". Od lat już zresztą rzecznicy wprowadzanej obecnie nowej konstytucji ustawicznie na jedną nutę powtarzali: „Trzeba wyplenić nasze dawne...", „Należy wykorzenić odwieczne...", „Należy raz wreszcie zerwać...", „Musimy usunąć..."

Z tego też względu ta nowa konstytucja—jeżeli chodzi o jej psychologiczne założenia—o wiele bliższa jest poprzedniczce swej, ustawie z 17 marca 1921 roku, niżeliby się to przy powierzchownem na rzecz spojrzeniu mogło wydawać. Jedną i drugą cechuje podobny brak związku z tradycją polską, podobna chęć zaczynania wszystkiego od początku. Mało tu znaczy znamienne zresztą odróżnienie, że pierwsza z nich nie wstydzi się słowa „naród", kiedy w obecnej, za wszelką cenę, postanowiono wyrazu tego się wystrzegać. W istocie rzeczy nie narodowe było naśladowanie Trzeciej Republiki Francuskiej, tudzież jej rządów partyjno-parlamentarnych według modelu konstytucji z r. 1875, jak—w równej mierze — nie narodowe jest kopjowanie „systemu prezydenckiego" z za oceanu.

Obie nasze konstytucje (z roku 1921 i z roku 1935), pomimo wszelkich dzielących je różnic,

---

[1]) André Siegfried: *„Amérique latine"*, librairie Armand Colin, Paris, 1934, p. str. 89 i nast.

są przecież tworem tego samego pokolenia, wychowanego jeszcze w latach niewoli, rozdwojonego walką wewnętrzną, pokolenia ludzi, którzy — jak trafnie przewidywał niegdyś Mickiewicz — odzyskawszy nagle niepodległość, a „nie mogąc w żaden sposób swojej przeszłości związać z przyszłością, ujrzeliby się zupełnie zbici z tropu...” [2]) Każda epoka swój pogląd na dzieje zabarwia w pewien właściwy sobie sposób, ta doba wszakże, w której się kształtowały pojęcia teraźniejszej generacji przywódców — doba, gdy razem oddziaływały wpływy i socjalizmu i oskarżania przeszłości naszej w historycznym wywodzie Bobrzyńskiego— szczególnie mało miała warunków na to, by należycie przygotować umysły do przywrócenia zatraconej ciągłości dziejów, do nawiązania zerwanych, wskutek niewoli, nici tradycji.

Z natury rzeczy więc, — zwłaszcza w sprawie ustroju państwa — pokolenie to skazane było na eksperymentowanie, uleganie modnym w danej chwili doktrynom lub dogadzanie chwilowym również interesom i rachubom. Wynikało to z istniejącego układu stosunków i niesprawiedliwością bodaj byłoby ferowanie na kogokolwiek wyroków potępienia. Dziwi też tylko, że generacja, która w przeciągu lat czternastu dokonała tak radykalnych przemian ustrojowych, i że ci ludzie, którzy — jak świadczy historja projektu konstytucyjnego BB — co sześć miesięcy przeżywali dotychczas zasadnicze ewolucje poglądów w tej dziedzinie, tyloma trudnościami najeżają przeprowadzenie legalnej zmiany ustawy konstytucyjnej w przyszłości (patrz rozdział XIII, art. 80 nowej konstytucji, w szczególności zaś ostatni, piąty punkt tego artykułu). Wieje stąd jakaś nieusprawiedliwiona pewność siebie, niewiara w to, że przyszłe, w normalnych warunkach wychowane pokolenia, potrafią same wytworzyć sobie odpowiednie dla nich formy ustroju, że bliższą może poczują łączność z tysiącletniem dziedzictwem historycznem polskiego narodu. Jakkolwiekbądź, stwierdzić wypada, że od zarozumiałości epoki współczesnej pięknie w tym razie odbija skromność twórców Konstytucji Trzeciego Maja, co „rozumiejąc potrzebę udoskonalenia onej po doświadczeniu jej skutków”, myśleli również, jak ułatwić potomnym naprawę czy też uzupełnianie swojego dzieła.

JAN REMBIELIŃSKI

---

[2]) Adam Mickiewicz: „Literatura słowiańska”, rok trzeci, lekcja VIII.

EMIGRACJA POLSKA PO POWSTANIU STYCZNIOWEM

PO UPADKU powstania styczniowego liczne rzesze młodzieży polskiej udały się na tułaczkę, podążając przeważnie do Francji. Tutaj, wśród obcego społeczeństwa, nie znając języka i nie mając środków do życia, znaleźli się ofiarni synowie Polski w okropnej nędzy. Nie zainteresowali się nimi neoficcy przewódcy dawnej emigracji. Bohaterowie osiemnasto-miesięcznej wojny z Moskwą, krwawiący się w blisko tysiącu bitew i potyczek, stoczonych na przestrzeni od Prosny do Dniepru, spełnili wszak już przeznaczone im przez światowe żydostwo zadanie. Żywioł polski został osłabiony na jakie lat pięćdziesiąt.

Tak zwana postępowa prasa francuska, jak oto: *„Constitutionnel“*, *„Reformateur“*, *„Courrier Français“* i in., umieszczająca chętnie artykuły neofitów o kwestji żydowskiej w Polsce, niezbyt gościnnie powitała nieszczęsnych wygnańców. Młodzieżą polską zaopiekowało się grono Francuzów z duchownymi: Monseigneur de Ségur i O. Perraud na czele. Ci szlachetni ludzie zwrócili się z gorącym apelem do francuskich katolików o pomoc dla schorzałych uchodźców. Kwestowano po kościołach, wyszukiwano posady, rozdano wśród najuboższych 309.000 fr.

Nie pozostawili za to w spokoju zbiedzonych emigrantów polskich szpiedzy rosyjscy, przeważnie żydowskiego pochodzenia. W sierpniu 1864 r. wśród Polaków-emigrantów styczniowego powstania kręcił się Juljan Sumiński. Bunikiewicz pisał do Platera o nim: „...Izraelita, mieniący się być mieszkańcem miasta Warszawy... Mówi po niemiecku i francusku...” Sumiński przyczynił się w znacznym stopniu do zorganizowania w końcu 1864 r. monstrualnej prowokacji, polegającej na wmówieniu w szeregi emigrantów, że w ociekającym krwią kraju zanosi się na wznowienie akcji powstańczej. Wielu emigrantów dało się przekonać, że kasata klasztorów, krwawe prześladowania i grożący krajowi pobór do wojska, wywołały wrzenie wśród mas. Szereg wybitniejszych osób udał się do kraju, aby wesprzeć rodzący się ruch. Nastąpiły nowe aresztowania.

Co się tyczy neofickich przywódców powstania styczniowego, którzy znaleźli się we Francji, to uważali oni, że najważniejszem zadaniem było utworzenie w 1866 r. Komitetu Reprezentacyjnego. Główną rolę odgrywali tutaj: Stanisław Jarmund, Bronisław Wołowski, Jarosław Dąbrowski z bratem, spokrewniony z frankistowską rodziną Piotrowskich, i inni. Działacze ci, oskarżeni o fabrykację fałszywych banknotów rosyjskich i malwersacje pieniężne, uważali siebie za godnych reprezentantów wychodźtwa polskiego. Bardzo czynni podczas komuny paryskiej, doprowadzili do tego, że Wersalczycy obeszli się szczególnie srogo z Polakami w Paryżu, rozstrzeliwując wielu z nich. Nieciekawą rolę odegrał wówczas Bronisław Wołowski, którego broszura p. t. „Polacy w rewolucji paryskiej” przepojona jest sympatją dla komu-

nistów francuskich. Mając dostęp do Thiers'a, nie uważał ten wpływowy „meches" za stosowne stanąć w obronie niewinnie skazywanych na śmierć Polaków. To też miał Wołowskiego dosyć nawet Władysław Mickiewicz, który pisząc o jego wędrówkach do Wersalu („Emigracja polska 1860 — 1890", st. 80) zaznacza, że „pod temi podróżami Bronisława Wołowskiego coś się ukrywało, że powodowała nim chęć złapania czegoś w mętnej wodzie..."

Starano się pozatem podtrzymywać wśród emigrantów polskich radykalną tradycję obozu w Portsmouth.

Miejsce Krępowickiego postarali się zająć: wychrzta Stanisław Mendelsohn i Diksztejn, współpracownicy „Ruchu", organu zwolenników socjalizmu międzynarodowego. Na obchodzie 50-ej rocznicy powstania listopadowego, urządzonym w Genewie dn.29.XI.1880 przez redakcję pisma „Równość", wznieśli oni okrzyk: „Precz z patrjotyzmem i reakcją!" „Niech żyje internacjonał i rewolucja socjalna!" Mendelsohn i Diksztejn byli też współpracownikami „Przedświtu", który zaczął wychodzić w 1881 r. zamiast „Równości". Diksztejn i Mendelsohn zagalopowali się w swoich zapędach antynarodowych polskich tak daleko, że zaczął stronić od nich nawet Bolesław Limanowski i wystąpił z redakcji „Równości". Od maja 1884 r. Mendelsohn, współpracujący w „katolickim" organie „Słowo", wydawał w Paryżu miesięcznik p. t. „Walka klas", który przejawiał rewolucyjne rusofilstwo. Tym zaciekłym wrogom Polski sekundował dzielnie Bronisław Wołowski, założyciel pisma w Wiedniu *„Le Messager de Vienne"*, które po 11 latach przeniosło się do Paryża i wychodziło od 1885 r. p. t. *„Le Messager d'Occident"*.

Nie wszyscy jednak Polacy szli na pasku zamaskowanych nieprzyjaciół narodu polskiego. Wielu z nich przejrzało perfidną grę przewódców żydostwa. Na czoło ówczesnych działaczy polskich wysunął się ks. Roman Wilczyński, pod którego redakcją zaczął wychodzić „Tygodnik" o nastawieniu antyżydowskiem.

Nie byli też wolni od „czułej opieki" prowokatorów neofickich nieszczęśnicy polscy na Syberji. Wysyłani setkami tysięcy z kraju, ci męczennicy sprawy polskiej szpiegowani byli na każdym kroku przez tych wyrzutków ludzkości. Ponurą sławę zyskał tam frankista Aleksander Zwierzchowski, o którego nikczemnej zdradzie pisał obszernie w swoich pamiętnikach Władysław Danilowski (Minusinsk 1867 — 69).

STANISŁAW DIDIER

BIZANTYNIZM

W DZISIEJSZEJ historjografji bardzo modną rzeczą jest rewizja utartych pojęć historycznych — objaw naturalny zresztą w naszej przejściowej epoce, bo, żyjąc na dziejowem rozdrożu, poszukujemy poprzez te wszystkie rewizje jakiejś nauki od nieśmiertelnej mistrzyni życia. Stąd gorączkowe szukanie różnych analogij i wzorów w przeszłości, — gloryfikowanie pewnych, zapomnianych dawniej faktów czy postaci, a potępianie innych, — zaś wszystko to sprawia, że prawie każda z ukazujących się dziś książek historycznych jest pewną rewelacją, dając nam nowy obraz przeszłości; tak też jest poniekąd i z książką, która nasunęła mi te refleksje, a którą można uważać za próbę (bardzo zresztą oględną) rehabilitacji Bizancjum (S. Runciman: *„La civilisation byzantine"*).

Próbą oczywiście poważną i sumienną, bo jej autor, uczony bizantynolog angielski, nie ma, pomimo swej niewątpliwej sympatji dla tego świata, który opisuje, nic wspólnego z szałem przysięgłych wybielaczy, a choć i w tej książce trafiają się karty i dowodzenia adwokackie *à la* Winston Churchill, pragnące coś usprawiedliwić za wszelką cenę, nigdy Runciman prawdy nie wyinacza i nie przemilcza czegoś sobie niedogodnego. Ale też dlatego dzieło jego jest tylko częściową rehabilitacją Bizancjum, poprawiając jedynie dotychczasowy, może często aż nazbyt ostry, sąd o niem, nie zmieniając go jednak w niczem zasadniczo.

Przechodząc jednak do istoty zagadnienia bizantynizmu, tak wszechstronnie omówionego w tej książce, zacznijmy od tego, od czego zaczyna jej autor — a co rzeczywiście dla Bizancjum jest najważniejsze, to jest od państwa.

Cywilizacja bizantyńska jest bowiem typowo statolatryczna, przesiąkła nawskroś kultem państwa i jego głowy, a zarazem też symbolu — cesarza. Cesarz zamykał w sobie całe państwo, a państwo cały naród. Absolutyzm cesarski był ograniczony przez kult prawa, a jeszcze więcej przez rewolucje, ale absolutyzm państwa był wszechmocny i w niczem nie miał przeciwwagi, bo Kościół był tylko funkcją państwa, a społeczeństwo po upadku demów miazgą bezbronną, bo niezorganizowaną. Państwo troszczyło się o wszystko i wszystkiem zajmowało — ustalało ceny, dawało pracę bezrobotnym, utrzymywało szkoły, szpitale, kościoły, wogóle otaczało swoich poddanych bezustanną i arcytroskliwą opieką, przeradzającą się aż w dotkliwą niewolę, skoro podróże bez wiedzy władzy administracyjnej były zakazane, ale za to często przesiedlano przymusowo całe grupy ludności, o ile tylko jako heretyckie czy innoplemienne przedstawiały dla państwa jakiś choćby cień niebezpieczeństwa. Pozatem oczywiście państwo nietylko dozorowało gospodarkę, ale wręcz ją prowadziło za pośrednictwem cechów, które w Bizancjum były tylko uzupełnieniem administracji, a także licznych własnych przedsiębiorstw i skupionych w swem ręku przeróżnych monopoli, z których najważniejszym był handel jedwabiem.

Kwitnęły więc w Bizancjum etatyzm i gospodarka planowa, a takie bezmierne rozszerzenie zadań państwowych, zbliżające tę monarchję zgoła do komunizmu Sowietów, co stwierdza sam Runciman, wymagało ogromnej masy pieniędzy, to też ciężar podatków był tak wielki, że aż stał się jedną z przyczyn upadku państwa, bo udręczona daninami ludność wolała częstokroć rządy Turków, niż cesarskie, a trzeba przyznać, że pod wieloma względami ucisk turecki zostawiał jej jednak więcej swobody.

Oprócz przeciążenia podatkowego ten system wszechmocy państwa prowadził prostą drogą do korrupcji, skoro trzeba było jakoś żyć i zabiegać o rozluźnienie natrętnej opieki władzy.

W tych warunkach całe życie Bizancjum ogranicza się tylko do poddawania się cesarskiej władzy, znoszenia jej wścibstwa i jej służenia. Społeczeństwo było tylko bierną masą, żywiącą państwo i żyjącą dla niego, a skoro tak się sprawa przedstawiała, studjum społeczeństwa w książce Runcimana jest wyłącznie samem tylko studjum obyczajów.

Stwierdzając wszystkie te złe strony życia bizantyńskiego, a także przyznając niezbyt dużą wartość jego literaturze, Runciman bez zastrzeżeń przeprowadza za to rehabilitację jego sztuki, którą uważa za najcenniejszą część pobizantyńskiego spadku. Entuzjazm jego dla arcydzieł tej architektury sięga tak daleko, że zestawiając gotyk Zachodu z kopułami Wschodu nie waha się przyznać tym ostatnim pierwszeństwa, co, paradoksalne niemal u Anglika, jest jednak, do pewnego stopnia, niewątpliwie słuszne z czysto konstrukcyjno-architektonicznego punktu widzenia (którego jednak Runciman szerzej nie rozwija), bo katedry gotyckie nie są nigdy całością same w sobie, będąc piękne w swych fantazyjnych warjantach, — mnożąc swe portale, wznosząc wyższe czy niższe, ścięte czy spiczaste wieże, jednakowe czy różne... podczas gdy w Świętej Zofji niema miejsca na szóstą kopułę, a wydłużenie jakiegokolwiek jej boku zepsuje cudowną harmonję greckiego krzyża. Nie chce też przyznać pierwszeństwa gotykowi nawet tam, gdzie, zdawałoby się, jest on bez konkurencji, twierdząc, że pełne złota i mozajek świątynie Bizancjum wyrażają równie żarliwy idealizm, jak strzeliste nawy katedr gotyckich, a nawet idealizm wyższy, bo oparty na starszej o wiele kulturze i głębszem wyczuciu i zrozumieniu piękna.

Są to oczywiście poglądy, głęboko wprawdzie umotywowane, ale stanowczo sporne, skoro: *de gustibus non est disputandum*. W każdym razie nie ulega kwestji, że ta żarliwa obrona sztuki bizantyńskiej przed stawianemi jej tak często rozlicznemi zarzutami, a zwłaszcza zarzutami bezduszności i pewnej martwoty jest jednak niewątpliwie słuszna, bo sztuka ta była żywa i zdolna do licznych przemian, a tęsknoty ducha ludzkiego oddawała wybornie i nie jest prostym przypadkiem, że prawie wszystkie cudowne obrazy, które najlepiej zaklęły w sobie kult świętych i Marji, pochodzą właśnie z Bizancjum, od Matki Boskiej Nieustającej Pomocy począwszy, a kończąc na naszej Częstochowskiej.

Mniej udatnie, choć także dosyć przekonywająco wypada obrona Bizancjum, jako szkoły cywilizacyjnej całego szeregu narodów Bałkanu i Wschodu. Prawda, że świat bizantyński nie mógł się rozwijać swobodnie i że żaden z kształconych przez Bizancjum narodów nie doczekał się pełnoletności, a także, co jeszcze ważniejsze, że zagasło nawet samo źródło ich kultury — bajeczny bogactwami Carogród. Fakt faktem, że w ten czy inny sposób, narody, które wzięły światło wiary i cywilizacji z Bizancjum, znalazły się później bez ożywczego przykładu i albo pół zamarły, albo musiały się zwracać po dalsze soki ożywcze do wzgardzonego przedtem Rzymu, szukając ich w źródłach zachodniej kultury, jak to robili Piotr Wielki i Piotr Mohiła.

Tę tragedję upadku Bizancjum opisuje Runciman bardzo żywo, a dziś się ona jakby odnawia, bo zamierają ostatnie ślady po Carogrodzie, skoro po roku 1453: „Tylko po pałacach rosyjskich, gdzie widniał jeszcze dwugłowy orzeł, godło dynastji Paleologów, przetrwało jeszcze przez parę wieków wspomnienie Bizancjum. W kilku ponurych komnatach nad Złotym Rogiem, ukrytych pośród zaułków Fenaru, patrjarcha zachowywał szczupły dwór, upoważniony łaską zwycięskiego sułtana do rządów nad poddanym mu ludem wiernych. Ale orzeł dwugłowy już nie widnieje w Rosji, a Fanar jest pogrążony w niepewności i strachu. Ostatnie ślady po Bizancjum są zamierające lub martwe".

Mimo wszystkie dowodzenia, nie wzięły więc stamtąd narody prawosławne tradycji życia, ale tradycję śmierci, ciągłą w Bizancjum nawet wśród rozkwitu. Jego kultura przesiąkła była poczuciem nieuniknionego końca, tragizmu rzeczy ludzkich i daremności wszelkich poczynań; gorzki pesymizm i rozpaczliwa hulaszczość — *vogue la galère* — cechowały ją stale, a to przeszło dalej i do „trzeciego Rzymu", któremu zgubę prorokował Sołowjew, głosząc, że nieuchronnie „padnie dwugłowy orzeł carów".

I tu dochodzimy do stwierdzenia, że jednak wszystkie dosyć ujemne sądy o Bizancjum i jego kulturze nie są, mimo wszystko, pozbawione podstaw. Ta cywilizacja miała wielkie wady i porównania z tak, zdawałoby się, barbarzyńskim wobec niej Zachodem nie wypadają wcale na jej korzyść Bo nietylko, że ten Zachód potrafił stworzyć we Francji (znacznie zresztą później) typ silnej monarchji, nie będącej jednak niewolą społeczeństwa, ale i wcześniej także, wbrew wszelkim pozorom, skoro Bizancjum uniknęło sporów między państwem i Kościołem i osiągnęło pewne szczyty w organizacji, — rozwiązał te wszystkie problemy wprawdzie inaczej, ale nie gorzej. Bo jednak i świat katedr gotyckich może się poszczycić, mimo wszelkich walk o inwestyturę, pewną, osiąganą, choć niezawsze, harmonją państwa i Kościoła, w ideale współpracy papieża i cesarza, a (feodalna) organizacja społeczna stała na Zachodzie o wiele wyżej i tam naprawdę kwitło życie stanowe i cechowe, nie będące prostym tylko refleksem państwa. I ostatecznie ta barbarzyńska, świeża kultura zwyciężała wyrafinowaną bizantyńską. Dwór Komnenów uległ czarowi rycerstwa i turniejów; Paleologowie też wpatrzeni byli w Zachód. Stosunki, zrazu jednostronne, zaczęły, zwłaszcza od krucjat, coraz więcej nabierać cech obustronnej wymiany, — może jeszcze nierównej, ale w każdym razie coraz bardziej zaszczytnej dla barbarzyńskich nie-Greków.

Czemu to przypisać? — Świetna książka Runcimana jakoś nie bardzo tę zagadkę tłumaczy, jednak tłumaczenie jest proste, bo wyjaśnienia należy szukać w nieprawdziwości wiary prawosławnej, w tem, że świat bizantyński nie miał tego oparcia w nieśmiertelnym Kościele, jaki miał katolicki Zachód, skoro *„ubi Ecclesia ibi nulla mors sed vita aeterna"* — podczas gdy Bizancjum żyło właśnie, nie w przeświadczeniu o wieczności życia, a przeciwnie, w ciągłem oczekiwaniu śmierci. Religja jego była błędna i, czytając rozdział jej poświęcony, spostrzegą się wyraźnie, że różnił ją od katolicyzmu nie tyle nawet spór dogmatyczny, ile przedewszystkiem inny klimat moralny i inna filozofja życiowa. Religja chrześcijańskiego Wschodu, tak troskliwa

o ortodoksję, nie potrafiła w tej swojej troskliwości zespolić harmonijnie ziemi i nieba, radości i ascezy, życia i śmierci, — ona się wiecznie wahała między temi antytezami, dla niej stale to były dwa niemożliwe do pogodzenia przeciwieństwa. W świeckiem życiu wszędzie czaił się grzech, a w klasztorze panowała ponura, przesadna asceza. Zachód tymczasem rozwikłał ten węzeł, znalazł upragnioną syntezę. Mrok katedr gotyckich jest pełen mistycyzmu, tak samo jak i cerkwie bizantyńskie, ale bogactwo ich rzeźb, barwy witraży i ta pewna architektoniczna nieregularność pełne są radości Bożego życia, której tamtym, sztywnym i regularnym brakuje. Klasztor średniowieczny to nie góra Athos, z jej aż śmieszną kontemplacyjnością i dziwacznościami suchej beznadziejnie reguły — ale przedewszystkiem radosna służba światu i ognisko kultury w myśl hasła: *„ora et labora”*... Ale tego wszystkiego nie mówi daleki, zdaje się, od jakiejkolwiek religji angielski uczony.

KAROL STEFAN FRYCZ

RADOŚĆ ZBLIŻENIA

(„MIASTA STWORZONEGO PRZEZ WIEŚ” CZĘŚĆ DRUGA)

O PIĘKNIE „zielonego” Wilna możnaby mówić na setkach stronic i nietylko nie zgłębić tematu, ale wciąż pozostawać u progów uroczego miasta. Tak niezwykłe dzieło przyrody, jak teren jego powierzchni w połączeniu z utworami kształtu, nawarstwionemi przez kilkaset lat szacownej kultury, składają się na swego rodzaju ziemską nieskończoność, w której się łatwo zagubić. A przecież ten szczęśliwy zespół tworu boskiego i ludzkiego gra przebogatą gamą barw i światłocienia i ukazuje się w coraz innej postaci w cudotwórczych promieniach słońca każdej pory roku, każdego dnia i każdej godziny! Patrzeć na Wilno i cieszyć się jego widokiem trzeba wciąż odnowa. Obcowanie z Wilnem — to mitologiczna beczka Danaid, na której wyczerpanie nie starczy życia. Wiele trudu — jeszcze więcej radości.

Więc porozumiejmy się z czytelnikiem, że nasza wędrówka po Wilnie ma zadanie skromne i ograniczone: naszkicuje garść luźnych rzutów oka i wiązankę wrażeń, wybranych dowolnie z wieloletniego pamiętnika przeżyć. Ukaże szczegółowiej sielski charakter miasta, pomijając bardzo wiele innych rzeczy, godnych uwagi i podziwu, i scharakteryzuje trzy główne elementy wileńskiego grodu: kościół z plebanją lub klasztorem, dwór pałacowy i wreszcie architekturę roślinną: parki, ogrody, zarośnięte place, ulice i góry, lasy podmiejskie i wszystkie elementy pejzażu, które wraz z budownictwem składają się na obraz syntetyczny Wilna, dominujący i niezmienny pomimo obcych naleciałości.

Głęboka kotlina z dwiema rzekami i czterdziestu świątyniami, zamknięta prawie zewsząd górami i zatopiona morzem zieleni — oto Wilno w najprostszym zarysie. Reszta rozpływa sie niepostrzeżenie w przeważającym zespole wieżyc, gór i drzew i świadczy, jak czujnie stoi przyroda na straży pejzażu wileńskiego. Na każdym kroku pilnuje miasta i człowieka, idzie w ślad za nim jak troskliwa piastunka i szczodrem rozkrzewieniem osłania i zdobi pośledniejsze formy ludzkiego bytowania.

Na północnym zachodzie ograniczają miasto lasy Zwierzyńca, Zakretu i wzgórza Karolinek i Sołtaniszek. Ciągłość zielonego wieńca zaczyna się zaznaczać mocniej u rozkosznych ogrodów Misjonarzy, Wizytek i Rossy, stanowiących prawdziwe rajskie zakątki malowniczości [1]), następnie przerzuca się przez Wilenkę Markuciami i Popławami, potęguje się na Zarzeczu, by już od niego rozpocząć nieprzerwany pochód liściasty i kwiecisty aż do wschodnich rubieży na Pośpieszce. A gdzie wieniec przerywa się na chwilę, tam przyroda ustawia wysokie naturalne trybuny, by widz nie stracił nic ze wspaniałości roślinnej scenerji. Uwydatnia się to szczególniej na Zarzeczu. Zarzecze — to osobne miasto za Wilenką, takie sobie powiatowe miasteczko z własnym cmentarzem i rynkiem, z przeżytkami pałaców i dworów (pałac Honestich), nawet z nieco odrębnym charakterem mieszkańców. Ale cała jego strona wschodnia gnieździ się i wspina po stromym brzegu Wilenki i każde podwórze stanowi widownię na jeden z najpiękniejszych pejzaży wileńskich; jest to jakieś włoskie *„bel-vedere”*, spadające tarasami ku foremnemu półkolu rzeki, ku gęstemu gajowi Bernardyńskiemu ze skupieniem kościelnych wieżyc i znowu wystrzelające żółtemi osypiskami i zielonemi wierzchami gór Altarji; jakiś gwałtowny, przerzutowy skok ponad wdzięczną, dolinną przepaścią. Z każdego podwórza na Zarzeczu będziemy oglądali te belwederskie niespodzianki pod coraz nowym kątem, aż wkońcu dojdą one do zenitu rozległości i potęgi na Popowszczyźnie.

Ogrody Bernardyński i Botaniczny są opasane pieszczotliwym łukiem Wilenki, tulą się do okolicznych gór i tworzą naturalne sceny teatralne z wiekowemi kulisami drzew i gobelinowemi kurtynami urwistych górskich ścian. Mogłyby one być pejzażowemi klejnotami, szeroko rozsławionemi na cały kraj, przy swoich niezwykle szczęśliwych warunkach topograficznych, z któremi może współzawodniczyć w całej Polsce tylko jeden lwowski park Kilińskiego. Ale we Lwowie ludzie naprawdę szanują i upiększają swoje ogrody, a w Wilnie umieją je tylko niszczyć. Wycinają w pień stuletnie aleje i grupy drzewne, rzekomo zmurszałe, by na ich miejscu wznosić naprędce klecone budy i szopy i niwelować teren dla sportowych wyczynów i jarmarcznych atrakcyj. Sumiennie czynią wszystko, by zmarnować te dwa przepiękne ogrody i jednak nie mogą im dać rady. Są bezsilni wobec faktu, że ogród Bernardyński pozostaje, mimo wszystko, perłą krajobrazu wileńskiego, dzięki swym niewyrąbanym jeszcze drzewom, dzięki meandrom Wilenki i amfiteatrowi urwistych gór, a park na górze Trzykrzyskiej, mimo spustoszenia ogrodu Botanicznego, wspina się stromemi tarasami klonowej gęstwiny aż do samego szczytu

[1]) Na Rossie istnieje zaułek „Rajski” i ogród zwany „Rajem”.

i dopełnia uroku tej przyrodzonej skarbnicy piękna; że wreszcie ogrody prywatne na osypiskach Zarzecza i Popowszczyzny roztoczone, patrzą z góry w głąb przepaścistego *teatrum* wileńskiego, jak wiszące ogrody Semiramidy, współzawodniczą wzniesieniem z najwyższemi wieżycami kościelnemi i tak bytują w prześlicznem odsobnieniu pomiędzy ziemią a niebem. Popowszczyzna — to nieprawdopodobna bajka, która naśmiewa się z wszelkich praw równowagi i statyki. Idzie się skromną uliczką z rzędami ubogich domów, o wyglądzie Oszmiany lub Lidy, ale każde podwórze i każdy ogród tej uliczki wywołuje okrzyk zdumienia i podziwu. Kończy się przepaścią — oszołamiającą panoramą całego Wilna, rozesłanego u stóp widza — zieloną, pastelowo barwną perspektywą kotliny wileńskiej, spiętej łukiem rzeki, usypanej szmaragdową krąglizną parkowych skupień, najeżoną kościelnemi iglicami i dłużącą się w mgławą dal aż hen — ku obłym płaskowzgórzom Szeszkini. A najpiękniejszy, z niczem niezrównany widok ukazuje się oczom z ogrodu posesji nr. 8, należącej do p. Doskalczuka, dokąd wchodzi się od podwórza po stromych schodkach, by dotrzeć wkońcu do cudownej przełęczy — do wiśniowego sadu z paru ławkami, położonego nie w Wilnie, ale — p o n a d W i l n e m. Tam kończy się świat realny, a zaczyna kolorowa feerja, bajka z tysiąca i jednej nocy, porywająca, zawrotna wizja miasta — ogromna, daleka, jasna, perłowo-modra wizja, której nie opisze żadne pióro, której żadne słowo ani obraz nie potrafią sprostać!...

Stąd poczyna się nieprzerwany zielony gościniec wileński, który może doprowadzić do środka miasta, do jego najdalszej peryferji wschodniej przedziwną drogą, nie mającą nic wspólnego z ulicą miejską, drogą górzystego i zarośniętego krajobrazu, zawieszonego wysoko ponad miastem. Góry Altarji, Zamkowa, Trzykrzyska, Stołowa i sąsiednie wiodą rytmem gwałtownych spadków i wzniesień do antokolskiego skarbca barokowego przepychu, do kościoła Świętego Piotra i Pawła, którego rzeźbione wnętrze jest wyrazem bogactwa i pełni życia i gra na wszystkich jego strunach, od wybuchów radosnego upojenia, do niemej ekstazy męczeństwa. A za Świętym Piotrem park Sapieżyński z pałacem, dwiema bramami i kościołem Pana Jezusa tworzy wspaniałe dworzyszcze, dumnie odosobnione i dotykające lasów ulicą Sióstr Miłosierdzia — ulicą, rzekomo miejską, ale otoczoną sosnowym borem. Dalej leśne wzgórza przechodzą w cmentarne gaje i wlewają się w pagórkowate pasma Pospieszki, gdzie zaczątki przedmieścia rozpływają się w zagajnikach i polach Niemenczyńskiego traktu.

Drugie rozgałęzienie tej zielonej drogi idzie od Rossy na południe i trudno orzec, które jest piękniejsze. Zaułki: Piwny, Rajski, Nikodemski i przyległe kąpią się w zieleni podwórzy i ogrodów, ulice Białostocka i Witebska przy torze kolejowym na Rossie są poprostu resztkami wielkiego parku podmiejskiego, bezmyślnie wytrzebionego, a dalej idą przecież prześliczne wzgórza Rossy, Markuć i Hrybiszek, których same nazwy stanowią dla wilnianina symbol malowniczości. Dwór w Markuciach i sąsiednie drogi piętrzą się urwisto nad zakrętem gwarnej Wilenki, cmentarz na Rossie — to górski i leśny labirynt, falujący dolinami i wąwozami, spoczynek zmarłych wśród czaru żywej przyrody, kulminacyjny punkt okolicy z rozległemi perspektywami na oddalone miasto. Za Rossą, po drodze do Nowej Wilejki, owalne linje terenu nabrzmiewają wdzięcznemi pagórkami, spadają w głębokie łąkowe kotliny; wesołą panoramą oblegają drogę żelazną po obydwu stronach toru i nawet z okna wagonu nie dają podróżnym spokoju swoją uśmiechniętą rozłożystością. Tarasami przewijają się Hrybiszki i Rekanciszki po jednej stronie, a po drugiej Leoniszki, Puszkarnia i Kuczkuryszki czepiają się stromych osypisk nad korytem Wilenki i przedłużają to niezrównanie malownicze pasmo Szwajcarji wileńskiej. Samo wyliczanie miejscowości, rwących oko i radujących duszę, zabiera już niemało czasu, a ileż znaleźlibyśmy zachwycających fragmentów na tej krótkiej przestrzeni kilku kilometrów, jaką różnolitą rzeźbę powierzchni, jaką szczodrą roślinną oprawę, jaką obfitość widoków, to miłych bliskim powabem, to wołających w błękit oddalenia, a zawsze tak przemawiających do serca swym kochanym wiejskim wyglądem! Wymieniliśmy tyle nazw, które niewiele powiedzą obcym, nie znającym Wilna, a przecież na nich nie kończy się ta zielona geografja, stanowiąca bezcenną wartość pejzażową miasta i składająca się na jego sielskie oblicze. Ileżby trzeba jeszcze było poświęcić opisów lasom Zwierzyńca i Zakretu, które czernieją sosnową gęstwą i patrzą na siebie, przedzielone rozlewem majestatycznej Wilji? Zwierzyńca, warującego na niższem wybrzeżu, jak przyczółek forteczny, i Zakretu, górnie spiętrzonego na wyniosłych urwiskach i stamtąd spozierającego z dumną powagą? Czy możnaby pominąć dąbrowy na fantastycznie rzeźbionych wyżach Karolinek i Szeszkini, gaje Wilczej Łapy i Lipówki, cmentarze ruski i barnardyński, jeszcze piękniejsze niż Rossa, wreszcie Belmont przy trakcie Batorowym, gdzie sama nazwa już uprzedza o walorach estetycznych położenia?... Niepodobna opisać te wszystkie cuda — trzeba je ujrzeć na własne oczy, by zrozumieć, czem jest Wilno.

Miastu-pejzażowi towarzyszy wiernie miasto-pałac i park, miasto-dwór i ogród. Wspomnieliśmy już o klasztornych wirydarzach Misjonarzy i Wizytek. Rozdziela je wąskim pasem ulica Subocz, bezprzykładna ulica, nie mająca na dłuższej przestrzeni a n i j e d n e g o d o m u, tylko wysokie mury, oparkaniające obie klasztorne samotnie. Ogród Misjonarski w majowe święto jabłoni — to pachnąca, białoróżowa symfonja kwiecistej puszystości, ścieląca się pochyłym skłonem ku modrym źrenicom dwu stawów, obramionych staremi klonami. Sad spływa coraz niżej rozlewem strojnej, urodziwej bieli i tworzy jasne przedpole, dla dalekiego obrazu strzelistych wieżyc śródmieścia. Niewiarogodną wydaje się myśl, że o sto kroków od tego białego zacisza przepływa nurt hałaśliwej ulicy, bezsilny zresztą wobec rozległości ogrodu, zajmującego cały kwartał miasta.

Ogród wizytkowski jest mniejszy, ale położony jeszcze wyżej i doskonale zespolony z architekturą kościoła i klasztoru. Już samo obszerne podwórze z rzędami klonów, tulących się do murów, tchnie oderwaną od codzienności, suggestywną zadumą. A ogród w pogodny dzień jesienny, w pożegnalnym szeleście spadającego listowia, w modrozłotych rozelśnieniach bezchmurnego nieba — to cicha, śpiewna elegja. Warto ją przeżyć.

(Dok. n.) JAN BUŁHAK

NAUKOWE STUDJUM LITERATURY

A KRYTYKA LITERACKA

(TEORJA i PRAKTYKA)

Wolę wprost w „Myśli Narodowej" odpowiedzieć p. redaktorowi Wasilewskiemu na jego artykuł w nr. 7 tego pisma, niż szukać na to innych sposobów[1]).

W pracy mej „O gwiaździsty diament Norwida" nie dotykałem bynajmniej całości poglądów p. red. Wasilewskiego, wypowiedzianych przez niego o Norwidzie w książce. Zdaję sobie doskonale sprawę, że tak mnie, jak i jemu wolno mieć na niektóre sprawy pogląd subjektywny, że — co więcej — sąd wszelki, tembardziej zaś sąd o zjawisku literackiem (piśmie czy pisarzu) nigdy od subjektywizmu zupełnie wolny być nie może. To też jeśli dla p. red. Wasilewskiego Norwid jest człowiekiem niezrównoważonym i oderwanym od życia, sądu tego i innych w tym rodzaju nie dotykałem wcale w swej książce, chociaż pod tym względem mam diametralnie odmienne zapatrywanie i uważam, że Norwid ma właśnie doskonałe poczucie rzeczywistości. (Nawiasem dodam, że sąd ten zależy w wielkiej mierze od tego, co uznamy za rzeczywistość. W rozprawie swej p. t. „Filozoficzne podłoże dzisiejszości" w „Roczniku T. P. N." w Wilnie, 1918, starałem się sformułować podstawy tak nazwanego przezemnie integralnego realizmu, w myśl którego fenomeny duchowe są równie rzeczywiste jak świat zmysłów, a Bóg jest tej rzeczywistości kwintesencją). Więc nie poruszając wcale poglądów subjektywnych p. red. Wasilewskiego, starałem się ograniczyć swój rozbiór do strony rzeczowej jego wywodów — i tu uciec się musiałem do naukowej metody badań.

Czem się ona różni od metod potocznie zwanej „krytyki literackiej"?

Może się mylę, ale p. red. Wasilewski wyobraża sobie, że z chwilą, gdy ktoś włoży na głowę biret doktorski, nagle w jego duszy następuje zmiana: giną właściwości krytyczne, ów monopol „niezależnej krytyki literackiej" — a zalegają piaski nudy uczoności. „Po co się wdzierać, gdzie światy są zera, pył — arcydzieła?" — zapytam tu wraz z Norwidem. Mnie bo wydaje się zupełnie inaczej: pracownik „naukowy" zachowuje w całości uzdolnienia i prawa „krytyka literackiego", ale zdobywa ponadto inne, ważkie i cenne właściwości. (Pomijam, rzecz jasna, możliwe wypadki indywidualne).

Czem się tedy różnią te dwa rodzaje badaczy literatury?

Wszyscy zaczynamy nasze studja w jeden i ten sam posób: oto czytamy dzieła literatury, literatury pięknej w szczególności, dajmy na to Norwida. I w toku lektury tworzymy oczywiście sądy. Poczem... — i tu się zaczyna różnica. „Krytyk literacki" (a w pewnym stopniu i w pewnym zakresie każdy z nas, i ten ze stemplem naukowym i ów bez takiego stempla, bywa nader często takim „krytykiem literackim" poprostu) zbiera, syntetyzuje, porządkuje te swoje sądy i, korzystając tylko z tego materjału pomocniczego, który ma gotowy w swojej głowie lub z którym się zapoznał przygodnie, niesystematycznie i nieplanowo — wypowiada swe sądy na piśmie czy też w żywem słowie.

Jest to metoda dopuszczalna, a czasem wręcz jedyna, gdy dotyczy np. zjawisk literatury bieżącej. O Jalu Kurku trudno np. coś więcej powiedzieć ponad oddanie wrażenia, otrzymanego z jego „Grypy"; co najwyżej możemy tę książkę porównać z innemi utworami tego pisarza lub innych autorów. Sądy te nie są i — jak sądzę — nie mogą być naukowe. I czy to Brückner, czy Chrzanowski, Wasilewski lub Piasecki wypowiadają w danym wypadku swą opinję, wszyscy oni tu! są jedynie i wyłącznie „krytykami literackimi", i dwaj pierwsi nie stroją się tu w swe profesorskie togi.

Ale jak rzecz wygląda przy takim np. Norwidzie?

Tu „krytyk literacki" też może zastosować swoją metodę powyższą. Nikt mu tego, jako żywo, nie zabroni. Boć to nawet poglądy osób zgoła dorywczo formułujących swe opinje krytyczne mogą być czasem bardzo ciekawe — i pożyteczne. *Exempla*: Prelekcje Mickiewicza, Słowackiego sądy o Zaleskim, Krasińskiego, Norwida i Asnyka o Słowackim, Konopnickiej o Mickiewiczu, Przybyszewskiego o Kasprowiczu i t. p.

Ale „krytyk literacki" czasem nie poprzestaje na swoich spostrzeżeniach, właściwych jemu w tym jego ograniczonym charakterze. Bywa, iż dążąc do ugruntowania swych sądów subjektywnych, próbuje wchodzić na drogę studjów ścisłych, ale nie chce, czy też nie umie poddać się atmosferze, która tam panuje i, co więcej, panować powinna.

Na czem ona polega?

Na ścisłości i rzetelności!

Świadek w sądzie winien mówić: prawdę, tylko prawdę i całą prawdę. Identycznie to samo obowiązuje pracownika naukowego.

„Krytyk literacki" podaje też niewątpliwie „prawdę" swych „przeżyć literackich", jak to kapitalnie określił p. red. Wasilewski. Prawdą jest dla niego, że ten utwór np. Norwida mu się podobał, ów zaś nie, ten go wzruszył, inny zajął, a tamten przeciwnie oburzył, inny wreszcie znudził lub znużył; ten nasunął takie refleksje, ów inne, takie lub owe analogje, reminescencje, pomysły filjacyj i t. p.

Ale uczony badacz literatury wie także, że obowiązują go jeszcze dwa inne dalsze warunki. Więc najpierw ma on dawać „tylko prawdę". On zdaje sobie sprawę z zawodności i niedokładności owych „przeżyć literackich". To też każdy swój sąd, każdą hypotezę, choćby mu się ona wydawała nawet najbardziej ponętna, gruntownie sprawdza

[1]) Zamieszczamy ten artykuł jako bardzo charakterystyczny, a po komentarz do niego odsyłamy czytelników do rubryki „Na widowni". — Red.

i dokumentuje. Stosuje tedy do swych badań metody ścisłej indukcji i obok pasji pozytywnej, konstruktywnej, dążącej do przeprowadzenia swej hypotezy, żyje w nim pewnego rodzaju pasja negatywna, rodzaj przekory wobec siebie samego, krytycyzm do siebie zwrócony.

Jeśli więc — konkretnie — wyda mu się, że istnieje pewne pokrewieństwo pomiędzy Norwidem a Fichtem np., to jednak nie rozciągnie on tej analogji aż na dualizm Norwida, bo Fichte był (obok Hegla) najzażartszym wyznawcą idealistycznego monizmu i przeciwnikiem dualizmu. Jeśli mu się np. wyda, że pewien zwrot w wierszu „Do mego brata Ludwika" wskazuje na osobę Marji Kalergis, to nie powie on gołosłownie, że wiersz ten powstał po zobaczeniu się poety z ukochaną, lecz się przekona, że wiersz powstał w r. 1844 i był wydrukowany już w lutym 1845, zaś zobaczyli się oni dopiero na wiosnę 1845 w Neapolu. Jeśli nie jest bezwzględnie pewien, kiedy Norwid przybył do Paryża, to raczej ominie datę, a nie powie „w końcu 1848", gdy to się stało w 1849. Krytyk naukowy naprzód się dowie, że Dembowski przybył do Warszawy na wiosnę 1841, że Majorkiewicz dopiero wtedy kończył gimnazjum w Płocku, że żadnego niemal z Entuzjastów nie było przed r. 1841 w Warszawie, że Karol Baliński już na wiosnę 1842 był w kraju — zanim ośmieli się stworzyć „hypotezę Edmunda" i dowodzić, że Żmichowska widziała „w jednem towarzystwie" Norwida i Dembowskiego w l. 1839—40, tembardziej, że sama poetka dopiero na Boże Narodzenie 1839 zjechała do Warszawy.

Badacz naukowy nie powie też, że „Przegląd Warszawski" przekształcił się w „Piśmiennictwo krajowe", gdyż oba te pisma istniały obok siebie w l. 1840 i 1841. Nie powie, że na czele I-go rocznika „Piśm. Kraj." było *motto* z Norwida, bo faktycznie znalazło się ono dopiero w drugim. Że „Piśm. Kraj." była to mała ósemka, bo w istocie był to format *in quarto*. Że ów Genjusz, który pisał o Norwidzie, miał na imię Mieczysław, bo tamten zwał się Eugenjusz. Nie napisze też, że Wężyk był heglistą, gdy ten (przynajmniej w tym czasie, gdy obcował z Norwidem) był bezwzględnym Hegla przeciwnikiem.

Ścisły badacz Norwida nie ryzykuje np. twierdzenia, że „w całej puściźnie pisarskiej Norwida nie znajdziemy wzmianki o tem, co przeżył dodatnio na łonie rzeczywistości" (patrz w książce p. red. Wasilewskiego str. 61), bo by anuż potem przyszło mu aż 10 razy sobie zaprzeczyć, jak to widzimy w powyższej książce na str. 95 (dwa razy), 117 (dwa razy), 144, 147, 189 (dwa razy), 192 (dwa razy).

A wreszcie pracownik naukowy na polu literatury pamięta, że winien podawać „całą prawdę". Postulat ten obciąża krytyka szczególnie i wymaga odeń rozległych studjów. Tu też, nie gdzieindziej tkwi cała racja bytu nauki! o literaturze.

Więc by pisać np. o atmosferze duchowej Warszawy w l. 1840—2, trzeba się przekonać dowodnie, w jakim do siebie stosunku pozostawały wpływy niemieckie do wpływów francuskich, jak np. w „Gazecie Warszawskiej" tego czasu nadzwyczaj mało się interesowano Niemcami, tak że na jeden wiersz o Niemczech wypadło przeciętnie może aż 50 o Francji. Trzeba wejść w prasę ówczesną bezstronnie i bez uprzedzeń i przekonać się, że w niej tendencje katolickie i frankofilskie bezwzględnie przeważały. Trzeba zbadać objektywnie wpływy, przełamujące się z oczywistością w lekturze Norwida („Alleluja, Pierwiosnek"), wpierw, nim się zaryzykuje zdanie, że „Norwid był pilnym czytelnikiem Dembowskiego", który go lekceważył.

Ale nie tylko o tem będzie pamiętał badacz naukowy. Nie powie on, że u Norwida na szczycie wszystkiego stoi „sztuka", bo ustępuje ona wyraźnie religji (w pisemku „O sztuce" czytamy w § 4: „Wobec religji sztuka samoistność swą traci i wstępuje w porządek potęgi wyższej życia").

Nie będzie też badacz naukowy mówił o sztuce u Norwida w kategorjach potocznego kantyzmu (sztuka to bezinteresowna, bezpojęciowa i powszechna kontemplacja piękna), bo Norwid wiąże sztukę najściślej z dobrem i prawdą, uznaje ją za wartość objektywną, za siłę witalną i społeczną, wyprzedzając w tem takich pisarzy, jak Ruskin, Sorel i Guyau [2]).

Jeżeli się to przemilcza, to się nie daje „całej prawdy", tak jak np. ktoś mówiący o socjalizmie Mickiewicza, winien koniecznie wspomnieć, że poeta za dwa główne dogmaty socjalizmu uważał—religijność i narodowość. Inaczej świadomie czy nieświadomie wprowadza w błąd czytelnika. I przy Norwidzie też trzeba unikać takich zdań: „Trudno w każdym razie kogoś przekonać, że wysunięcie sztuki na szczyt wieży niebotycznej, jako łącznika z niebem, jest koncepcją religijną" (u Wasilewskiego str. 184).

W świetle teorji takiego Guyau bynajmniej nie zadziwi nikogo to określenie „koncepcja religijna", w zastosowaniu do Norwida.

— — — — — — — — — — — —

Czyż jasna jest teraz różnica pomiędzy metodami naukowego pracownika na polu literatury — a „niezależnego krytyka literackiego"?

Ten ostatni jest niezawodnie nieskrępowany, gdy się trzyma w granicach swych „przeżyć literackich", lecz kiedy zapragnie wyjść poza ich obręb i wejść na obszar ścisłych badań literackich, winien się poddać wymogom pracy naukowej, czyli podawać „prawdę, tylko prawdę i całą prawdę". A wtedy się przekona, że „żywego" człowieka i „żywe" zjawiska literackie może dawać nietylko „niezależny krytyk literacki", lecz conajmniej równie dobrze naukowy badacz literatury.

STANISŁAW CYWIŃSKI

---

[2]) Guyau, główny rzecznik metody socjologiczno-genetycznej, widzi przedewszystkiem w sztuce zjawisko społeczne. Sztuka potwierdza życie, potęguje w nas poczucie żywotności. Sztuka to życie — oto jego zasadnicza definicja. Guyau potępia wszelkie teorje kontemplacyjne, wszelkie hasła sztuki dla sztuki. Przedewszystkiem zwalcza Kanta bezinteresowność estetycznego upodobania. Właśnie interesowność cechuje upodobanie estetyczne. Rzeczy piękne budzą tak samo pożądanie, jak rzeczy dobre i praktyczne. Zadaniem estetyki jest przeto wykazanie społecznej genezy sztuki i licznych stosunków pomiędzy sztuką a wszelkiemi objawami życia, z nauką niemniej, jak i z przemysłem. (Według „Filozofji sztuki" M. Sobeskiego, str. 162). Widzimy, iż pomiędzy Guyau a Norwidem zachodzą zdumiewające analogje.

NA WIDOWNI

O sektach i snobizmie w literaturze. — O granicy między nauką o literaturze a krytyką. — Krytycyzm także potrzebny. — Znawca i wyznawca. — Liryka dorobiona do tytyłu.

PRZYSŁUGUJĄCA mi, jako autorowi atakowanemu, prawo głosu przenoszę tutaj z pod powyżej zamieszczonego artykułu prof. St. Cywińskiego, sprawa bowiem ma ogólniejsze znaczenie. Jesteśmy świadkami chorobliwych reakcyj na najprostsze zjawiska pracy umysłowej, mającej na celu wyjaśnienie prawdy, w tym wypadku prawdy historycznej w literaturze. Skąd się bierze ten stan nienormalny? Oto pytanie bardzo interesujące nietylko dla krytyka literackiego.

Jest to zagadnienie kultury, wspólne dla całego koliska dziedzin (umysłowych, moralnych i politycznych), które tutaj mają swoją centralę psychiczną. Istnieje jakaś wada niedorozwoju kulturalnego wśród ludzi, którzy doszli do wpływu na losy cywilizacji polskiej (w nauce, polityce, literaturze, wychowaniu), wada, która tamuje swobodę ruchów w poszukiwaniu prawdy. Nie można przy takiem obarczeniu myśleć o twórczości w wielkim stylu.

Ograniczę się dzisiaj zakresem literatury i tylko jedno zadam pytanie: Skąd się bierze ten snobizm w sferach oświeconych, będący tak podatnem podłożem dla sekt, wytwarzanych nawet w świecie naukowym?

Co się musi dziać w innych dziedzinach, nie dyscyplinowanych specjalnie, jak życie publliczne, gdzie prócz snobizmu tak łatwo szerzyć rozkład moralny, co się dzieje z publicystyką, pełniącą rolę historjografji i historjozofji w stosunku do dziejów bieżących, skoro do zamkniętych historycznie dziedzin literatury tak łatwo przedostają się zarazki snobizmu!

— — — — — — — — — — — — —

Przed laty zwracałem uwagę na to [1]), że wielką pomocą dla historji literatury jest krytyka literacka, pracująca wespół z opinją społeczeństwa, jako odbiorcy utworów literackich, i wespół z twórcami dzieł. Rozważanie literatury jako fenomenu pozażyciowego nie ma sensu, a właśnie krytyka, będąca wykładnikiem tego stosunku literatury do życia, ma wiele do powiedzenia badaczowi literatury o wartościach historycznych dzieła i jest przez to dla niego busolą.

Gdzie tej współpracy krytyki z nauką nie było w dobie powstania dzieła i społeczeństwo stosunku wyraźnego wobec twórcy nie zajęło, gdzie niema drogi przetartej przez zdrowy zmysł rozsądku pospólnego (*sens commun*), tam łatwo o manowiec. Mamy przykład na Norwidzie, lub na takim Hoene-Wrońskim (jako myślicielu). Tworzą się formalne sekty, wytwarzane przez tłumaczy pisma dla manjaków i snobów. Koło Wrońskiego kręcą się analfabeci, głoszący światu, że próżno się mozoli, wszystkie bowiem zagadnienia dawno już są rozwiązane przez Wrońskiego.

[1]) Ob. moją książkę „Poeci i teatr", rozdział wstępny „O zjawisku literackiem i krytyce" (1928). Pogląd mój odpowiada stanowisku prof. M. Kridla w książce „Krytyka i krytycy" (1923), oraz prof. Kleinera w rozprawie „Charakter i przedmiot badań literackich" (1913).

A cóż się zrobiło z Norwidem? Zjawisko uzurpacji Norwida mogło powstać tylko w dobie błędnej nauki w literaturze, jako fakcie pozaspołecznym. Był taki prąd w Młodej Polsce. Stąd już tylko krok do nauki o literaturze, jako wiedzy ezoterycznej. Zapanował nad twórczością wielki mag snobizmu. Wytworzyła się i tutaj sekta, mająca swój punkt ciężkości p o z a n a u k ą h i s t o r j i l i t e r a t u r y i p o z a k r y t y k ą, oparcie zaś — w snobizmie sfer, szukających mody. Relikwje Norwida, w ołtarzu tej kaplicy złożone, stały się wyłączną własnością czcicieli, wiedza zaś o nich — przywilejem wtajemniczonych. Widzimy, co w imię tej wyłączności robią oni z T. Pinim, który się ważył wydać dzieła Norwida. Gdybym ogłosił listy, któremi z tej strony od paru lat mnie torpedowano, abym pracy zaniechał, nie mam bowiem prawa jako niewtajemniczony wkraczać do tego przybytku, gorzkie moje słowa znalazłyby u czytelników usprawiedliwienie. Muszę wyznać, że te ataki mnie zniechęciły tak, iż studjum nad Norwidem nie dokończyłem. Wydałem je pośpiesznie, dorabiając zakończenie, aby nie zaginął ślad pracy mozolnej.

— — — — — — — — — — — —

P. Cywiński wydaniem swojej książki „O gwiazdzisty diament Norwida" pragnął wyprzedzić moją książkę. Zapowiedział mi to zresztą lojalnie zgóry, dowiedziawszy się, że wydaję swoją pracę. Celu zamierzonego nie osiągnął, nie tylko dlatego, że się spóźnił, raczej dlatego, że ze zbytnią zajadłością na mnie się rzucił. I teraz, gdy jeszcze uspokoić się nie może, wysłuchałbym pobłażliwie jego traktatu o różnicy między nauką i krytyką, gdyby nie demonstrował swej teorji na mojej osobie, moim kosztem. Muszę jednak powiedzieć mu, że gdybym się nawet na to rozróżnienie zgodził, to jednak pozostałaby kwestja, co różni mnie i jego. Mojem zdaniem nie tyle to, że on jest mężem nauki, a ja „tylko" krytykiem, lecz to, że on nie posiada zmysłu krytycznego, a bez tego zmysłu nie można być ani człowiekiem nauki ani krytykiem.

Odmawiając mi zmysłu naukowego i wiedzy, popełnia niesprawiedliwość, zna bowiem moje inne prace i przyznawał mi nawet autorytet pewien, ale niechże granicę nauki przesunie trochę poza składy luźnych wiadomości i uwzględni konieczny warunek naukowości — zdolność objektywnego do przedmiotu stosunku. Norwid, jak już mu wyjaśniałem, przylepił mu się do duszy i obarcza go swoim ciężarem. P. Cywiński się gniewa, gdy go nazywają nie znawcą Norwida, lecz wyznawcą. A przecież w r. 1933 przekonywał mnie, że na tem polega jego wyższość. Przytoczę dokładnie jego słowa:

> „Największem uznaniem, jakie w życiu słyszałem, tak wybrzmiało z ust P... w r. 1909: „Ależ ileż ty masz z Norwida! Tak mówisz i myślisz, jakby on ci wczoraj swą duszę osobiście odkrył"! A dziś Panu się wydaje, że Pan lepiej rozumie Norwida!! 90% m o j e j d u s z y — z N o r w i d a"! (Ostatnie słowa były podkreślone).

To jest coś więcej, niż znawstwo. Stosunek ten po 25 latach pewno się poprawił jeszcze. Jak widać z zachowania się p. Cywińskiego, wynosi dzisiaj jakie 150%.

— — — — — — — — — — — —

Nie mam wielkiej potrzeby polemizować z jego szczegółowemi zarzutami, które dziś ponawia.

Żeby przekonać świat o nędzy „krytyka” pobrzękuje „faktami”, jako że jest w nie bogaty, a krytyk ma tylko, z przeproszeniem... intuicję.

Więc chwyta mnie za datę, kiedy Norwid spotkał swoją damę zagranicą, sam tej daty nie znając, albo za datę, kiedy Norwid przybył do Paryża... Mianowicie wytyka mi, że ją oznaczyłem na koniec r. 1848, ale zapomina o tem, że sam tę datę ustalił: „W końcu grudnia 1848 [Norwid] przyjeżdża do Paryża” [1]). Brak naukowości polegać ma i na tem, że nie rozróżniam formatów książek, bo „Piśmiennictwo Krajowe” miało format *in quarto*. Zawstydzony (byłem przecież bibljotekarzem) wyciągam miarkę i mierzę: rocznik „Pism. Kr.” z r. 1841 — formatu: 12 x 19. Mała ósemka! Nie jest też zabójczy dla mnie zarzut, jakobym nie umiał nazwać poprawnie ś. p. Genjusza, swego przyjaciela. P. Cywiński zaleca mi pleonazm: Eugenjusz Genjusz. Według mnie o Norwidzie pisał Mieczysław.

Inne przewagi uczoności tyleż są warte. I w książce polemicznej przeciwko mnie i tutaj p. Cywiński przeciwstawia moim poglądom na indywidualny sposób myślenia Norwida swoją charakterystykę pojęć filozoficznych, upowszechnionych współcześnie w Warszawie. Przecież Norwid to nie wypadkowa statystyczna. A jeśli chodzi o atmosferę filozoficzną, to wolę posłuchać Adama Bara, który ją lepiej zbadał w swojem studjum „Zwolennicy i przeciwnicy filozofji Hegla w polskiem czasopiśmiennictwie, 1830—1850” [3]). Kwestję Edmunda w „Pogance” Żmichowskiej odkładam do osobnego artykułu.

— — — — — — — — — — — — —

Nie o to chodzi, jakie szanse myślenia miał Norwid, lecz o to, jak myślał w rzeczywistości. Trzeba rozgryzać teksty i tu naukowość byłaby bardzo przydatna w postaci krytycyzmu. Cóż mi z tego, że będę znał datę i format edycji, gdy nie będę umiał znaleźć klucza do zrozumienia utworu?

Weźmy przykład.

Norwid w r. 1860 (dokuczała mu już wtedy mocno głuchota) pisze wierszyk liryczny p. t. „Wczora i ja”, zaczynający się taką zwrotką:

„Oh, smutna to jest i mało znajoma
Głuchota.
Gdy słowo słyszysz, ale ginie
Koma i jota“.

P. Cywiński w komentarzu do tego wiersza („Wybór pism”, 150) tak rzecz tłumaczy: „Norwid przenosi się myślą w przyszłość, kiedy jego teraźniejszość będzie już przeszłością, wczora. I słysząc „wczora”, chciałby dodać: „i-ja”, ale „ginie koma i jota”, słychać tylko: „wczora-a”.

Zwracano uwagę badaczowi naukowemu, że: 1) nie da się uzasadnić przypuszczenie, jakoby poeta liryczny wywodził z grafiki tytułu swoją koncepcję artystyczną. Tytuł dorabia się zwykle na końcu i niezawsze zgrabnie; 2) psychologicznie nie da się uzasadnić zjawisko wzruszenia lirycznego na kredyt przyszłości. Norwid płacze nad tem, co już stracił; 3) dlaczego spójnik „i” ma być „komą” (dzielnikiem)? Dlaczego „j” zabierać zaimkowi? I wogóle, coby miało znaczyć „wczora-a”? Przecież to nie ma sensu! 4) gdyby poeta tak widział sens swojej wizji poetyckiej, toby sam dał tytuł „Wczora-a” i byłoby jeszcze trudniej zgadnąć, o co chodzi. Dyskusja na ten temat, trwająca lata całe, ani na jotę, ani na komę nie przekonała uczonego. Oczywiście nie da się przekonać, że to nie jest ani nauka, ani krytyka. To raczej magja, czy też studjum talmudyczne, jakaś sztuka tajemna, od której wara ludziom zdrowego rozsądku.

Krytycy tego typu jedną tylko mogą żywić obawę: aby wypadkiem Norwid nie wstał z grobu i nie powiedział, jak było naprawdę. Cała wielkość uczoności, owe 150% z duszy Norwida, poszłaby wniwecz. Dlatego taką nienawiścią witają badania, konfrontujące twórczość z żywą duszą poety.

— — — — — — — — — — — — —

Nie chciałbym zostawić wrażenia, że polemizując z p. Cywińskim, zwalczam ideję nauki o literaturze, pod której sztandarem p. Cywiński występuje do boju. Zwalczam sekciarstwo w literaturze. Krytyka musi je usuwać z drogi w interesie literatury i nauki o literaturze.

ZYGMUNT WASILEWSKI

[2]) C. Norwid „Wybór poezji“, S. XII.

[3]) „Archiwum Komisji (Akad. Um.) do badań historji filozofji w Polsce“, t. V (1933).

GŁOSY

PRZEGŁOSOWANIE PRZEZ SEJM (większością, niż dochodzącą dwu trzecich) tekstu nowej ustawy konstytucyjnej, oznacza koniec pewnego kierunku myśli politycznej. Koniec dlatego, że dalej pójść nie można. Myśl skończyła się, bo urzeczywistniła cały swój program, i wyczerpała się w tym triumfie. Myśl—czyż trzeba jeszcze dodawać? — ratowania Polski przez wzmocnienie władzy wykonawczej. Myśl ta—stwierdzimy objektywnie—była raczej własnością pokolenia, niż poszczególnych obozów politycznych. Była—do pewnego stopnia przynajmniej — ideą przewodnią postulatów ustrojowych w obozie narodowym w czasie od 1921 do 1926. I potem nie przestała nią być, ale ideję tę przyswoił sobie i doprowadził do skrajności, po zagarnięciu władzy, obóz pomajowy. Ta myśl górowała, kiedy sejm, w sierpniu 1926 r., po raz pierwszy przez zmianę konstytucji wzmocnił władzę prezydenta. Od tego czasu ramię władzy wykonawczej zdobywało dla siebie coraz większą przewagę, usymbolizowaną w działaniu policjanta, audytora, cenzora, komisarycznego prezydenta i przeróżnych innych organów, przyczem poruszało się w sposób coraz bardziej niekrępowany,—ale myśl o potrzebie „wzmocnienia władzy wykonawczej” i nadal nie zamarła. Szeptano, mówiono, radzono i deklamowano o niej. Jeszcze w ostatniej chwili—nawet stronnictwa opozycyjne, przez usta swoich rzeczników w sejmie, przypominały dezyderat, iż „władza prezydenta powinna być wzmocniona”. Tym postulatom stało się obecnie w pełni zadość.

CZERPAŁY ONE NATCHNIENIE z dwu przedewszystkiem źródeł: z przekonania, że Polskę zgubiła „sejmokracja”, i z przekonania, że bezrząd demoliberalny prawie zgubił już państwa zachodnie. Przekonanie pierwsze rozpowszechniło się w sposób dość zadziwiający, jeżeli zważyć, że właśnie wymagało przeoczenia wieku XVIII, wieku upadku, i skończenia dziejów Polski gdzieś

pod koniec wieku XVII, kiedy „sejmokracja" rządziła jeszcze. Logika ta kazałaby ustalić koniec niepodległych dziejów Polski mniejwięcej w dacie zwycięstwa wiedeńskiego; a już w każdym razie na jakiś czas przed olbrzymim renesansem władzy wykonawczej za Augusta II Sasa. Nowa konstytucja stwarza dla władzy wykonawczej warunki, które pozwoliły owemu monarsze prowadzić nieodpowiedzialną politykę zagraniczną i wplątać naród w Wojnę Północną. Od niej zaś właściwie początek upadku państwa należy datować. W przekonaniu atoli Polaków, wychowanych na ideologji Bobrzyńskiego, tego właśnie potrzeba dla odrodzenia Ojczyzny, by Głowa Państwa mogła „stanowić" nieodpowiedzialnie o wojnie i pokoju. Co się tyczy drugiego poglądu, na demoliberalizm, to rozpowszechnienie się jego ułatwione było ogromnie przez to, że ze wszystkich wielkich narodów najmniej wiemy o szerokim świecie i najpłytsze wygłaszamy sądy o innych. Psychologja polityczna narodów zachodnich nigdy nie stała się w naszej literaturze politycznej przedmiotem głębszego studjum. Oba zaś powyżej przytoczone przekonania w niemałym stopniu wyjałowiły naszą myśl polityczną ze zdolności twórczych w dziedzinie pomysłów konstytucyjnych; w szczególności „sanacja" wulgaryzowała tylko i karykaturowała „endeckie" ideje: hierarchji, elity i silnego rządu. Okres ten dobiegł obecnie końca. Brak twórczości przez długie lata przygotowywania reformy — teraz. wreszcie, po jej urzeczywistnieniu — śmierć naturalna idei z wycieńczenia.

NAUKA i LITERATURA

POLONICA W NIEMCZECH

ZWIĄZKI nasze ze światem, o których wiemy już wcale dużo (choćby z prac prof. Kota), rozwlóczyły wszędzie zabytki dawnego życia. Polityka Polski mocarstwowej ogarniała dwory europejskie, pozostawiając w archiwach zagranicznych ślady pisane tych stosunków. Losy rozbiorowe porzuciły akta sprawy polskiej w miejscach najbardziej oddalonych. Prócz politycznych, węzły kulturalne, literackie i artystyczne powiązały na wszelki sposób przeszłość naszą z czterema stronami świata. Nie mnożąc przykładów tego stanu rzeczy, wystarczy przypomnieć, że bibljograf Kochanowskiego pierwodruk „Fraszek" (Kraków, 1584) odnajdzie aż — w Berlinie; przytem unikat berliński jeden jedyny posiada układ, nadany zbiorowi przez autora.

Nielada trudności wynikają stąd dla historyka, gdy w poszukiwaniach badawczych wyjść musi poza Polskę; zdany na intuicję naukową i wiedzę osobistą, nie ma dotąd historyk polski przewodnika po zbiorach zagranicznych, rejestrującego zabytki polskie (archiwalne, bibljoteczne i muzealne) na obczyźnie. Wielka ta praca zbieracka, przedsiębrana nieraz przez instytucje i jednostki (od czasu „Wiadomości bibljograficznej..." Al. Przeździeckiego, 1850) niemal cała jest jeszcze do zrobienia. Fragmentaryczne wyniki dotychczasowe zaginęły nieraz w rocznikach dawnych czasopism; oprócz przedruku wymagają jeszcze — ostrożnej kontroli. Ekspedycje naukowe Polskiej Akademji Umiejętności dały hasło poszukiwaniom systematycznym w tej dziedzinie; jak dotąd, wyprawy przedwojenne zbadały Szwecję i Węgry. Monografiści wątków historycznych dorzucili od siebie niejedno, ale brakło ciągle źródła informacyj naukowych, wskazujących choćby w zarysach ogólnych grupy materjału polskiego zagranicą.

Serja prac rejestracyjnych d-ra Karola Piotrowicza, zamierzona celowo i metodycznie, ma niedostatki obecne usunąć. „Polonica zagranicą", ogłoszone w tomie XIII „Nauki Polskiej" (1930), zawarły opis zabytków i instytucyj polskich w Austrji, Czechosłowacji, Rumunji i na Węgrzech. Tom XVIII „Nauki Polskiej" (1934), na dwustu zgórą stronicach, utrwala monumenta polskie w Niemczech. Ale praca nie poprzestanie bodaj na tych dwu fragmentach; niemała użyteczność naukowa podobnych zestawień niechaj wynagrodzi autorowi całą żmudność precyzyjnego wykonania.

„Polonica w Niemczech" poprzedził uwagami ogólnemi Aleksander Brückner, przedstawiając schemat historyczny i kulturalny: Polska i Niemcy. Szkic syntetyczny, nakreślony ze swadą i plastyką, zawiera skrót stosunków polsko-niemieckich w poziomach najważniejszych i najbardziej typowych. Ocena ogólna wpływów pogranicznych na Polskę jest beznamiętna i raczej pozytywna: „Skoro... obawy germanizacji nie było, możemy ten wpływ, te stosunki oceniać jako dodatnie; okupione one wprawdzie utratą niejakich terenów, ale za to udzielały nam bezpośrednio, szczególniej w wieku XIII i XIV, zdobyczy kultury zachodniej, miejskiej mianowicie i wiejskiej, a później przyczyniły się walnie do wytworzenia mieszczaństwa polskiego, t. j. narodowego od XVI w. począwszy..." (s. XVIII). Niedawne i niezakończone jeszcze spory polemiczne w związku z dziełem zbiorowem *„Deutschland und Polen"* (1933), tezę niemiecką o wpływach i znaczeniu Niemiec w historji Polski formułowały stokroć śmielej i całkowicie — niehistorycznie. Stanowisko prof. Brücknera, wskazujące wśród stosunków polsko-niemieckich także momenty wzajemnaj wymiany kulturalnej, wydaje się słuszne i racjonalne. Czytelnik, ciekawy tych spraw i rzeczy, poza oceną, ogólną znajdzie w szkicu Brücknerowskim niemało podniet naukowych, uwag i przygodnych wskazówek dla badaczy związków Polski z Niemcami.

Praca d-ra Piotrowicza, zagajona wstępem, ukazującym m. in. drogi, jakiemi zabytki polskie wędrowały na ziemie niemieckie, zawiera długi i szczegółowy rejestr pamiątek naszych, które „przypadek, stosunki familijne, dziedziczne i inne w niemieckiej Austrji i w Niemczech przechowały". Szereg ten ułożył autor alfabetycznie, wedle miejscowości; notatkę możliwie wyczerpującą o materjałach i zabytkach polskich, znajdujących się w danych zbiorach, uzupełnia literatura przedmiotu, polska i obca. Bogactwo informacyj, uzyskanych z dziedzin najrozmaitszych (historja, literatura, sztuka), rozwiązują precyzyjne i wielokrotne indeksy, które zapewniają całkowitą orjentację w książce. Zasięg materjałów przebiega całe Niemcy, ośrodki stołeczne i miasta prowincjonalne; szczególną ciekawość budzą tu Śląsk i Warmja, osobno wydobyć należy artykuł informacyjny o Królewcu.

O ile zawierzyć wrażeniu ogólnemu, na pracy Piotrowicza zyskała najbardziej historja polityczna; szereg grup materjałów źródłowych poddano tu przeglądowi i rejestracji. Badania nad literaturą staropolską pożywią się kilkoma ważnemi szczegółami; z wieku XVIII zanotowano Krasiciana, opracowane już jednak w ostatnich publikacjach Bernackiego. Niejedna wiadomość przeznaczona dalej dla historyka kartografji, drukarstwa. Dziejom sztuki *polonica* niemieckie usłużą również informacją. Przykładowo cytujemy tutaj ambonę z kościoła ewangelickiego w szczecińskim Radatzu, która miała być niegdyś wozem trjumfalnym Jana III po zdobyciu Wiednia. Literatura przedmiotu, podana w tej sprawie przez autora, nie jest wyczerpująca. Uzupełnić ją można szeregiem pozycyj dawnych i nowszych, rzecz była popularna, także u Niemców. Zapis Piotrowicza należy pomnożyć ogłoszonym materjałem ilustracyjnym; artykuł z „Biesiady Literackiej" (1855, nr. 22, czyżby Bartoszewicza?) do dzisiaj nieprzestarzały; wśród wielu innych pisał o zabytku Kraushar. Poczem odkrył go raz jeszcze St. Bouffałł w „Rzeczypospolitej" (1922, nr. 349). Niedawny rok jubileuszowy Sobieskiego sprzyjał także podobnym wspominkom.

Zasobna w materjały praca d-ra Piotrowicza zachęca do poszukiwań i zestawień szczegółowych, śladami autora. W znacznem bogactwie treści niejedna relacja okaże się nowa lub znana dotychczas niedokładnie. „Polonica w Niemczech", ważne *compendium* naukowe, przewodnik po zbiorach i bibljotekach, rewindykujący wiele zabytków polskiej przeszłości kulturalnej, oddać może usługi niepospolite.

E. P.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Dnia 6 kwietnia r. b., o godz. 8 wieczorem, odbędzie się w sali Konserwatorjum Warszawskiego „Wieczór muzyki i żywego słowa", na którym znakomita autorka Wanda Miłaszewska odczyta trzy niedrukowane dotąd swoje utwory, a świetny pianista, Stanisław Staniewicz grać będzie dzieła Szopena, Schumanna i Schuberta.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO.

Liga Morska i Kolonjalna wydała serję nowych broszur, poświęconych zagadnieniom morskim, oraz przedmiotom i sprawom marynarki wojennej: Roman Czeczot „Obrona wybrzeża", Olgierd Żukowski „Zarys rozwoju okrętów torpedowych", Heljodor Laskowski „Artylerja morska", Jerzy Sawiczewski „Łodzie podwodne".

Broszury te, napisane w formie popularnej przez wyższych wojskowych marynarki i inżynierów mechaników, pięknie ilustrowane, mają na celu zapoznanie i zbliżenie myśli polskiej ku morzu. Popularyzują fachową wiedzę za pomocą przykładów, zaczerpniętych ze zdarzeń wielkiej wojny. I tak: R. Czeczot, mówiąc o obronie wybrzeża przed ewentualnym napadem floty nieprzyjacielskiej, wymienia środki obrony, artylerję nadbrzeżną i lotniczą, a jako przykład działania cytuje fakt wtargnięcia Anglików do zajętego przez Niemców portu belgijskiego i historję wypraw włoskiego oficera Rizzo na kutrach motorowych do portów austrjackich. O. Żukowski omawia decydujące znaczenie torpedowców w wojnie rosyjsko-japońskiej i uwidocznia graficznie rozwój budowy i techniki torpedowców w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu. Również rzeczowo, a podobnie jak wyżej wymienieni autorzy, żywo i interesująco, J. Sawiczewski w swej broszurze „Łodzie podwodne", zapoznaje czytelnika z budową łodzi podwodnej, techniką jej czynności, katastrofami i ratownictwem. Poprzednie wydawnictwa Ligi Morskiej i Kolonjalnej, o charakterze zasadniczym i ogólnym: J. Ginsberta „Prawda morska", B. A. Krzywca „Polska polityka wojenno-morska" i „Obrona morza w Polsce", rozeszły się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. Nowe zasługują też na jak najszersze rozpowszechnienie. (A. W.).

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Zaiateresowanie dzisiejszych Francuzów zwraca się coraz częściej do tych, którzy kształtowali duszę Niemców: jednym z objawów tego zainteresowania jest niedawno wydana książka o Lutrze, napisana przez wybitnego historyka, Fr. Funck-Brentano („*Luther*", wyd. Grasset). Autor, na podstawie świadectw, pochodzących od samego Lutra i niektórych jego przyjaciół (Mathesius, Melanchton i t. p.), kreśli ponury obraz jego dramatycznego żywota, z którego wywodzi jego rozpaczliwą doktrynę religijną. Jako dziecko był Luter maltretowany w domu przez rodziców, a w szkole przez nauczycieli. Sam powiadał o tem: „nasi nauczyciele zachowywali się wobec nas jak kaci względem złodziei". W duszy oraz w sercu, zniekształcanem przez nadmiar surowości, kiełkowały beznadziejne uczucia i myśli. Już jako o mnichu przyjaciel Lutra, Mathesius, tak się odzywa: „cierpiał on na niepokój duszy; zajęty był przedewszystkiem swojem zbawieniem i obawiał się sprawiedliwości Boga, o którym sądził, iż jest nieubłagany". Sam Luter wyznawał: „Boga wyobrażałem sobie w postaci nauczyciela z kijem w ręku, jak kata". „Byłem mnichem bardzo pobożnym" — mówi jeszcze — „pomimo to byłem smutny, gdyż sądziłem, że pan Bóg nie sprzyja mi. Przechodziłem męki piekielne, niekiedy doznawałem pokusy bluźnienia Bogu, surowemu i niemiłosiernemu; w rozpaczy wykrzykiwałem, iż lepiej byłoby, gdyby Bóg nie istniał wcale". Z takich stanów duszy wyszła doktryna predestynacji, którą Luter określił w sposób następujący: „W Bogu istnieje wola jawna i wola ukryta *(verborgene)*. Jawnie ogłasza on łaskę, która ma zbawić człowieka, potajemnie natomiast ustala on, jacy są ludzie, co będą uczestniczyli w tej łasce, i jacy ci, którzy będą z niej wyłączeni".

Nie ta wszakże surowa doktryna religijna zadecydowała — zdaniem autora — o dziele Lutra, lecz jego osobowość. Doktryna — powiada F. Brentano — jest czemś najmniej interesującem w historji luteranizmu. To człowiek — czyni z tego reformatora potężną postać. Jakim był „człowiek", o tem dowiadujemy się od niego samego: „Nieposkromione ciało" — zwierza się Luter — „pali mnie ogniem pożerającym. W gruncie rzeczy, ja, co powinienem być łupem ducha, zużywam się za sprawą ciała, rozpusty, lenistwa, próżniactwa i ospałości".

Ostatni okres życia Lutra charakteryzuje się podobnie rozpaczliwym stanem jego duszy, jak za lat młodości. „Niemcy są skończone" — wykrzykuje — „światu grozi ruina. To też ogromnie jestem znużony. Nie przeszkadzajmy. Niech się dzieje, co ma być".

Brutalność instynktów, niepokoje i przerażenia mistyczne, smutek i rozpacz: oto, co było treścią żywota tej reprezentatywnej postaci duszy germańskiej. (W. J.)

TEATR

PIEKIELNA MASZYNA

WIDZA, który znęcony tytułem „Piekielna Maszyna" spodziewa się w Teatrze Nowym ujrzeć widowisko sensacyjne—w stylu *Grandguignol*'owym, sztukę z życia nihilistów czy *gangster*'ów—czeka rozczarowanie. Sztuka pana Cocteau jest poprostu jeszcze jednem opracowaniem legendy o Edypie. Mogłaby nosić tytuł: „Edyp niewiadomo-który". Policzenie bowiem wszystkich dramatów o tym bohaterze wydaje się niepodobieństwem. Sofokles poświęcił mu trzy sztuki: „Król Edyp", „Edyp w Kolonie", „Antygona". Ale przed Sofoklesem mit edypowy dramatyzował Ajschylos w tetralogji, składającej się ze sztuk: „Laios", „Edyp", „Siedmiu przeciw Tebom" i „Sfinks". Z tetralogji owej zachowała się do naszych czasów tylko część trzecia. Tłumaczył ją pięknie Kasprowicz. Pozatem podanie o losach nieszczęsnego rodu Labdakidów, z którego Edyp się wywodził, opracował dramatycznie współczesny Sofoklesowi Eurypides, w sztukach: „Oinomaus", „Chryzippos" i „Fenicjanki". Z trylogji tej dochowały się po dziś tylko „Fenicjanki", reszta przepadła.

„Król Edyp" Sofoklesa natchnął przed panem Cocteau we Francji Corneille'a i Voltaire'a. Obaj oni uważali arcydzieło Sofoklesowe za utwór scenicznie słaby. Postanowili go ulepszyć. Corneille wprowadził na scenę Tezeusza i Dirkę. Voltaire kazał Jokaście romansować z Filoktetem, gwoli wzbogacenia sztuki. Obaj poczytywali za błąd dramatyczny Sofoklesowi, że pozwolił od pierwszego aktu utworu domyślać się widzowi, jakie będzie rozwiązanie. Obaj starali się przeprowadzić intrygę w sposób bardziej interesujący. Obaj chybili. Sztuki ich oddawna zwietrzały i przestały być ciekawe, a stary Sofokles po dziś pozostał świeży i żywy.

Pan Cocteau, przystępując do opracowania mitu o Edypie po swojemu, wzgardził zarówno metrami greckiemi, jnk francuskim aleksandrynem. Napisał sztukę prozą, przypuszczając, że widz dzisiejszy woli prozę od wierszy.

Przed odsłonięciem kurtyny tajemnicze głosy z za kulis, zastępujące chór antyczny, czy staroświecki prolog, umotywowały tytuł widowiska. Piekielna Maszyna — to *fatum* działające z matematyczną precyzją. Następnie ujrzeliśmy fortyfikacje tebańskie, żołnierzy, pełniących straż na murach, jak w „Salome" Wilde'a i widmo króla Lajosa, pokazujące się warcie jak w „Hamlecie" Szekspira. Ten duch, wyłaniający się z muru, oświetlony na zielono, jest efektem, w dobie *trick*'ów kinematograficznych, niezbyt imponującym. Lajos materjalizuje się z wielkim wysiłkiem aby przestrzec Jokastę przed Edypem, który zbliża się do miasta. Królowa, która zaszła na wały w towarzystwie Terezjasza, ducha nie spostrzega. Zajęta była flirtem z wartownikami. Nieszczęsne

widmo Lajosa zadało sobie trud materjalizacji napróżno. Scena zabudowana jest mnóstwem schodów. Jokasta na te schody narzeka. Współczujemy jej. Dekoracja męczy nie tylko stopy aktorów: wzrok widzów również.

W akcie drugim autor przenosi nas w okolice Kithaironu. Drogi do Teb strzeże Sfinks. Sfinks w koncepcji pana Cocteau — to bogini Nemezis, wcielająca się — to w kobietę, to znów w potwora skrzydlatego. Z woli bogów Sfinks morduje przechodzących młodzieńców, wysysając im krew z żył, o ile nie zgadną zagadki, którą im zadaje. Bogini zabija niechętnie. Jako kobieta żałuje swoich ofiar, lecz musi być posłuszna woli wyższych bogów. Strzeże Sfinksa i pomaga mu w zabijaniu bóg egipski Anubis — psiogłowy. Nadchodzi Edyp — młodzieniec odziany w skórę dzikiego zwierza i hełm bohaterski. Dąży z Koryntu do Teb. Przypuszcza, że jest synem koryckiego króla Polibosa. Wyrocznia delficka oznajmiła Edypowi, że zabije rodzonego ojca i poślubi rodzoną matkę. Aby uniknąć tego losu, młodzieniec postanowił nie wracać do Koryntu, lecz udać się do Teb. Zamierza zabić Sfinksa, będącego plagą dla tego miasta i otrzymać w nagrodę rękę królowej Jokasty, wdowy po Lajosie.

Sfinks pod postacią ślicznej, siedemnastoletniej dziewczyny bardzo się Edypowi podoba. Edyp nie przypuszcza oczywiście, żeby owa dziewczyna mogła być krwiożerczym potworem. Sfinksowi, nawzajem, bardzo podoba się Edyp. Sfinks zakochuje się w młodzieńczym bohaterze, ale Edyp pana Cocteau okazuje się snobem. Siedemnastoletnia piękność go nie zatrzyma. Ma on ochotę ożenić się z królową. Koniecznie z królową. Chce również rozgłosu bohaterskiego. Żeby renomę osiągnąć — trzeba zabić Sfinksa. Rozkochana w śmiertelniku bogini przybiera postać skrzydlatego dziwoląga. Edyp, urzeczony widokiem Sfinksa wije się u jego stóp, błagając o łaskę. Bogini pragnie młodzieńca ocalić. Nie stawia mu zagadki, lecz informuje go w trybie warunkowym o tem, coby się stało, gdyby jej nie odgadł. Przy okazji podaje Edypowi rozwiązanie zagadki, od którego uzależnione jest pokonanie Sfinksa. Następnie uwalnia Edypa z pod czaru, który go pętał i pozwala mu odejść. Edyp nie odchodzi jednak. Prowokuje Sfinksa do postawienia zagadki. Rozwiązanie zna, więc oczywiście — zwycięża. Sfinks musi umrzeć. Tak chcą wyroki losu. Gdyby Edyp zjawił się w Tebach ze zwłokami młodej ślicznej dziewczyny, naród nie uwierzy mu, że niesie zwłoki Sfinksa. Motłochowi trzeba pokazać, na dowód zwycięstwa, zwłoki potwora. W tym celu Sfinks przed śmiercią pożycza sobie psią głowę od Anubisa. Bogini jest nieśmiertelna. Nemezis ścigać może Edypa. Ofiarowała mu tylko zwłoki swego wcielenia. Okazuje się, że Edyp pana Cocteau jest nietylko snobem, ale również niewdzięcznikiem i kabotynem. Przed udaniem się do Teb kryguje się i próbuje najefektowniejszych póz, jakie ma przybrać przed ludem, dźwigając na ramionach swoje trofeum.

Taka jest mniejwięcej treść aktu drugiego. To interludjum ze sfinksem stanowi samo w sobie odrębną całość. Jest najoryginalniejszą częścią utworu p. Cocteau. Romans Edypa ze Sfinksem nie został tak, jak inne momenty mitu Edypowego w sztuce oklepany. Pamiętamy sonet Heredii, obraz Ingres'a. Nic więcej w tej chwili nie przychodzi nam na pamięć. Akt drugi mógłby stanowić osobne widowisko, bez dalszego ciągu. Obawiam się, że streszczając go powyżej, nie uwydatniłem należycie jego dramatyczności. Nie jestem pewien czy oglądając go na scenie raz jeden tylko, należycie zrozumiałem wszystkie symbole i aluzje, któremi autor hojnie szafuje, czy nie przeinaczyłem nieco mimowoli sensu tego aktu. Zdaje mi się jednak, że grubszej nieścisłości nie popełniłem.

W akcie trzecim jesteśmy świadkami nocy poślubnej Edypa i Jokasty. Rozzuwając z sandałów stopy swego męża, Jokasta spostrzega na nogach straszne blizny. Lat temu dwadzieścia, gdy się urodził jej syn, o którym wyrocznie mówiły, że zamorduje ojca i poślubi matkę, przekłuła stopy dziecka, związała je, jak zajęcze skoki i kazała zaufanemu słudze zanieść niemowlę do lasu na pożarcie dzikim zwierzętom. Spostrzegłszy blizny na nogach Edypa, (którego imię po grecku znaczy opuchło-łydziec) opowiada mu tę historję. Nie przyznaje się jednak do przekłucia nóg swemu dziecku, twierdzi, że przygoda ta wydarzyła się pewnej szwaczce tebańskiej, rzekomo mlecznej siostrze Jokasty.

W akcie czwartym pan Cocteau załatwia się z resztą materjału mitycznego. Już dwa akty temu, od których minęło lat kilkanaście, publiczność dowiedziała się, że Edyp po drodze z Delf spotkał orszak jakiegoś starca. Podczas zwady ze służbą machnął tak nieszczęśliwie kijem, że ugodził starca w skroń. Uderzenie okazało się śmiertelne. Edyp, przekonany, iż jest synem Polibosa, nie domyślił się, że zabił właśnie rodzonego ojca.

Teraz z ust sługi, który przybył z Koryntu, aby zawiadomić go o śmierci Polibosa, dowiaduje się, iż był tylko przybranym synem koryckiego króla. Z ust zawezwanego pasterza, któremu niegdyś Jokasta poruczyła zgładzenie niemowlęcia—dowiaduje się reszty. Jokasta, posłyszawszy rewelacje pastucha wiesza się w sąsiedniej komnacie na własnej szarfie. Edyp wykłuwa sobie oczy. Idzie na wygnanie, wsparty na ramieniu młodziutkiej córeczki Antygony. Razem z nim rusza na tułaczkę duch Jokasty. Będzie towarzyszył Edypowi nieodstępnie, aby czuwać nad kaleką, niewidzialny dla nikogo prócz dla ślepca. Jokasta—żona powiesiła się, żeby odpokutować winę. Duch jej nie czuwa nad Edypem w charakterze żony, lecz w charakterze matki.

Na tem kończy się sztuka o człowieku, który był rodzonym bratem własnych córek, mężem własnej matki, wnukiem swojego teścia i t. p. Patrzymy na nią z niesłabnącem zainteresowaniem od pierwszej do ostatniej sceny, pomimo że wiemy doskonale zgóry, jakie będzie rozwiązanie, gdyż bajkę o Edypie pamiętamy z ławy szkolnej. Ale Edyp, któregośmy poznali w gimnazjum, jest zupełnie niepodobny do tego histerycznego, ambitnego snoba i pyszałka, z jakim nas zapoznaje Cocteau. Bohaterstwa w „Piekielnej Maszynie" niema za trzy grosze. Edyp wyzuty został doszczętnie z owego bohaterstwa i dostojności, które kazały ludowi tebańskiemu wielbić go i żałować w sztuce Sofoklesa. Niesympatyczność bohatera „Piekielnej Maszyny" pozwala nam bez żalu pogodzić się z wyrokiem przeznaczenia. Nad dolą Edypa Sofoklesowego mogliśmy szlochać. U Sofoklesa Edyp był niewinną ofiarą, ofiarą nieubłaganego fatum, które ścigało go niewiadomo z jakiego powodu. U pana Cocteau Edyp zasłużył sobie na los okrotny, zlekceważywszy boginię Nemezis, wzgardziwszy jej miłością dla karjery i sławy.

Wciskając widowisko to w szczuplutką ramkę Teatru Nowego, inscenizator zminjaturował je i ukameralnił zbytecznie. Sztuce jest na maleńkiej scence za ciasno. Nie jestem pewien, czy utwór p. Cocteau wypadłby dobrze w teatrze antycznym pod gołem niebem, czy potrafiłby wstrząsnąć wielotysięcznemi tłumami, zrezygnowawszy ze śpiewanego wiersza na rzecz realistycznie wygłoszanej prozy. Zdaje mi się jednak, że Teatr Polski lub Narodowy byłyby stosowniejsze do jego inscenizacji, niż zaciszna scenka w salach redutowych.

Pan Schiller miał zadanie bardzo trudne. Wybrnął z niego naogół zwycięsko, pomimo zabudowania szczupłej przestrzeni nadmiarem dekoracyj. Ach, te schody!...

Rolę Edypa odtworzył p. Wyrzykowski. Był Edypem przystojnym, pełnym temperamentu, ale grał dosyć monotonnie. Pani Broniszówna zagrała przejmująco rolę Jokasty. Prześlicznie wyglądała i grała wyśmienicie pani Lubieńska w roli Sfinksa. Była coprawda bardziej wampirkiem niż boginią, ale wampirkiem uroczem. Pan Damięcki jako duch Lajosa grał cokolwiek przesadnie. W rolach epi-

zodycznych wyróżnili się pp.: Kreczmar, Wierciński, Buszyńska.

Zapomniałem o Brydzińskim: odtworzył kapitalnie postać wieszczka Terezjasza.

S. J. G.

ZE ŚWIATA SZTUKI

DNIA 4-go kwietnia b. r. w salach warszawskiego Instytutu Propagandy Sztuki zostanie otwarta wystawa polskiej sztuki gotyckiej, obejmującej około dwustu (w tem sto zupełnie dotąd nieznanych), eksponatów, pochodzących z Muzeum Narodowego w Warszawie i Muzeum Wielkopolskiego w Poznaniu, oraz muzeów djecezjalnych w Pelplinie, Włocławku, Warszawie, Kielcach, Krakowie i Tarnowie.

Wystawa, pierwsza od 1901-go roku, wykazuje dobitnie, iż Polska była ważnym ośrodkiem kulturalnym Europy zachodniej.

Wystawę urządza Towarzystwo Opieki nad Zabytkami Przeszłości przy współudziale sfer kościelnych i przy wydatnej pomocy Funduszu Kultury Narodowej.

FILM

MAJESTIC: „Jestem zbiegiem", film amerykański.

To jest silny i bardzo dobrze zrobiony film. Ale reżyser nie dba o efekty i pomysły, nawet najbardziej artystyczne, tylko poto, żeby pokazać, co potrafi zrobić. Roboty się nie widzi, odczuwa się jedynie jej rezultat, w postaci wrażenia, jakie ten utwór filmowy na nas wywiera. Jak świetny majster-rysownik, zamiast gadulstwa wielu bezradnych linij, szeregiem najprostszych, ale trafiających w sedno rzeczy sztrychów określa istotę czyjejś fizjognomji, tak i tu doświadczony reżyser, oszczędnością krótkich, następujących po sobie scen, fragmentów i obrazów, rysuje wymowny i zwarty obraz całości. Podpatrzenie niektórych nikłych, ale charakterystycznych szczegółów, dyskretne napomknienia o nich aparatu operatora, czynią ten film dziełem przejmującem do głębi. Jest to akt oskarżenia przeciwko metodom więziennictwa, stosowanym wobec przestępców, skazanych na ciężkie roboty przymusowe (w Ameryce). Dla zapoznania się z zarzutami należy opowiedzieć treść filmu, osnutego zresztą na tle powieści jednego z amerykańskich pisarzy.

Młody chłopak wraca po wojnie do domu, z odznaczeniem za waleczność, w randze podoficera. Nie chce teraz jednak wracać do biura, chce pracy samodzielnej, twórczej, pragnie zostać budowniczym. Ale nie wiedzie mu się, wędruje po całej Ameryce, nigdzie długo nie zagrzewając miejsca. Wkońcu znajdujemy go w domu noclegowym dla bezrobotnych. I stąd, zaplątany w przykrą historję, dostaje się do więzienia. Jego kamrat, nieznany mu bliżej osobnik, pod groźbą rewolweru, zmusza go do udziału w napadzie rabunkowym. Policja łapie obu, tamten ginie podczas strzelaniny, ale pieniądze znajdują przy nim. Dziesięć lat ciężkiego więzienia.

Tu pierwsze zastrzeżenie: czy to przypadkiem nie przesada? — nie znam amerykańskiego ustawodawstwa, ale u nas, ani nasze prawo, ani sędzia jako człowiek, nie wydaliby podobnego wyroku; złodziej z nędzy, dotychczas nie karany, dostałby karę znacznie łagodniejszą i to zapewne z zawieszeniem. Może więc błąd tkwi w samem założeniu — film ma wywołać protest uczuć ludzkich przeciwko sadystycznym metodom, stosowanym w więzieniu, ale nie trzeba zapominać, że to tak pojęty wymiar „sprawiedliwości" wydał człowieka na łup kanljom, dozorcom więzienia.

Obraz więzienia zajmuje znaczną część filmu i jest to obraz straszny. Praca przy kamieniołomach, od świtu do nocy, jedzenie — odpadki i zjełczały tłuszcz, znęcanie się dozorców-oprawców przy lada okazji. Bicie specjalnemi rzemieniami. Na straży ludzie z karabinami, sfora psów tresowanych do wyłapywania zbiegów.

Więźniowi udało się jednak zbiedz. W oddalonym od tego miejsca stanie zaczyna pracować, robi karjerę, przechodząc wszystkie szczeble, od pomocnika majstra, aż do kierownika budowy. Po kilku latach zostaje jednak zdradzony przez kobietę, która, poznawszy przypadkiem jego przeszłość, szantażowała go. Stan, w którym był więźniem, domaga się wydania zbiega; stan, w którym ten zbiegł stał się uczciwym i zasłużonym obywatelem, nie chce go wydać. Rozpoczynają się targi. Wkońcu stanęło na tem, że gdy zbieg dobrowolnie wróci, to po odsiedzeniu przepisowych 90 dni, reszta kary zostanie mu darowana. Dawny więzień wierzy i wraca. Tymczasem sąd zmienia zdanie i decyduje, że dopiero po roku nienagannego prowadzenia się można go będzie uwolnić. Po roku odkłada decyzję na czas nieograniczony. To naigrawanie się z człowieka, który uwierzył, to igranie jego losem, jest torturą moralną, bodaj bardziej okrutną, od znęcania się chamów-dozorców.

Nieszczęśliwy ucieka po raz drugi. W dzień się ukrywa, nocami wędruje. Takie teraz prowadzi życie. Kiedyś przypadkiem spotyka kobietę kochaną, która czekała na jego powrót. Rozstają się. „Co robisz?" — woła za nim. „Kradnę" — płynie szept z ciemności.

Drugie zastrzeżenie: pokazano nam stosowanie takich „metod" więziennych wobec człowieka niemal niewinnego, czy to dowód jednak, iż będą one godziwe, wobec prawdziwych przestępców?

KANDYD

ZMARLI

Ś. P. JAN ROZWADOWSKI

O TEJ nieodżałowanej stracie, jaką jest śmierć ś. p. Jana Rozwadowskiego, donieśliśmy już w poprzednim numerze. Zajmował on wybitne stanowisko w ruchu narodowym, który doprowadził Polskę do zjednoczenia i niepodległości, jest więc ta karta żałobna kartą historyczną. Przed kościołem Bernadynów we Lwowie czcigodny prezes St. Głąbiński wygłosił głęboko odczutą przez niego i słuchaczów mowę, w której stwierdził, że ś. p. Rozwadowski jako potomek rodu od wielu pokoleń na Ziemi Czerwieńskiej osiadłego i chlubnie zapisanego na kartach naszej historji, zdawał sobie od młodości sprawę z tego, że z dawnych przywilejów pozostał ziemiaństwu polskiemu jeden tylko przywilej, a to przywilej wiernej i bezinteresownej służby dla kraju i narodu.

Z tego „przywileju" korzystał przez całe życie.

Ś. p. Jan Jordan Rozwadowski, ur. w roku 1872 w Babinie nad Łomnicą (pow. Kałusz), uczęszczał do gimnazjum w Stanisławowie i we Lwowie, studja prawnicze odbył w Krakowie i tam uzyskał doktorat praw w roku 1895. Pracował jako urzędnik w krajowej Dyrekcji Skarbu we Lwowie i w Krakowie, studjując jednocześnie ekonomję polityczną.

Wyjechawszy w roku 1899 do Niemiec, studjował ekonomję społeczną na uniwersytetach w Lipsku, Halli i Berlinie. W r. 1900 badał przebieg parcelacji większej własności w Prusiech i studjował na miejscu działalność Komisji Kolonizacyjnej w Poznaniu. W latach 1902 — 1903 przeprowadził drogą samodzielnie opracowanego kwestjonarjusza badania nad przyczynami, rozmiarami i przebiegiem ruskiego bezrobocia rolnego z r. 1902. W r. 1905 habilitował się na Uniwersytecie lwowskim jako docent ekonomji społecznej i wygłosił wykład wstępny na temat „Pojęcie gospodarstwa".

W r. 1907 założył tow. „Zjednoczone Koło Zjazdów rolniczych", grupujące w sobie najwybitniejszych młodych ziemian Wschodniej Małopolski, a w rok później „Podolski Związek hodowców mlecznego bydła". W r. 1909 wszedł do Dyrekcji Galic. Banku Ziemskiego w Łańcucie. Filją tego Banku we Lwowie zarządzał do wybuchu wojny.

Należał do najdawniejszych we Lwowie zwolenników i prenumeratorów „Przeglądu Wszechpolskiego", a z chwilą objęcia redakcji „Słowa Polskiego" w r. 1902 przez Wasilewskiego i Popławskiego, zaczął je zasilać swemi artykułami (np. o „Ruskiem Bezrobociu w r. 1902"). W r. 1904 należał do grona pierwszych pięciu inicjatorów założenia organizacji Stronnictwa demokratyczno - narodowego w tej dzielnicy, pracował czynnie w komisji programowo - organizacyjnej i wszedł w skład komitetu głównego stronnictwa, w którym aż do wybuchu wojny bez przerwy zasiadał. Był również

jednym z najwybitniejszych przedstawicieli stronnictwa w lwowskiej Radzie Narodowej od r. 1907.

Po wybuchu wojny wszedł jako jeden z przedstawicieli stronnictwa w skład N. K. N., z którego wraz z innymi we wrześniu 1914 wystąpił. Następnie wyjechał do Szwajcarji, gdzie brał bardzo czynny udział w pracach Lozańskiej Agencji Prasowej i należał do najbliższych współpracowników Romana Dmowskiego. Był również jednym ze współredaktorów „Przeglądu Polskiego", wydawanego we Fryburgu szwajcarskim w1916 r. W tym okresie jeździł także do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, z ramienia Ligi Narodowej, celem nawiązania bezpośredniego kontaktu z Polakami amerykańskimi.

W roku 1917 przeniósł się ś. p. Rozwadowski do Paryża i od sierpnia wszedł w skład Polskiego Komitetu Narodowego jako jeden z najczynniejszych jego członków, biorąc żywy udział we wszystkich stadjach pracy nad organizacją polskiej armji we Francji i przedstawicielstwa polskiej polityki zagranicznej w mocarstwach zachodnich. Kierował w Komitecie wydziałami propagandy naukowej i spraw cywilnych.

O działalności ś. p. Rozwadowskiego w czasie wojny prof. Głąbiński w mowie swojej dał szczegółowe informacje: Obóz narodowy w Austrji złożył na wstępie wojny ofiarę ze swej odmiennej orjentacji politycznej i międzynarodowej w interesie jedności narodowej i dla umożliwienia zbrojnej organizacji polskiej w tej dzielnicy. Wstąpił też do Naczelnego Komitetu Narodowego pod warunkami, przedstawionemi rządowi i innym stronnictwom, pomiędzy niemi pod warunkami, że Komitet ten uzyska od państw centralnych niezbędne gwarancje co do powstania niepodległej Polski i nie będzie reprezentował mających inną orjentację polityczną innych dzielnic Polski. Na członków Komitetu wydelegowało stronnictwo kilku ludzi, m. in. Jana Rozwadowskiego, wkrótce jednak, bo już we wrześniu r. 1914, członkowie ci i ich zastępcy musieli Komitet opuścić z powodu niedotrzymania przez rząd austrjacki, przez Komitet przyjętych, warunków i oddania się tegoż w zupełną zależność od przewrotnej polityki austrjackiej. W porozumieniu z prof. Głąbińskim wystarał się wówczas Rozwadowski o paszport zagraniczny i wraz z rodziną wyjechał do Szwajcarji, gdzie w Lozannie rozwinął niezwykle energiczną i mądrą działalność propagandową — publicystyczną i wydawniczą — w sprawie polskiej, w ścisłej łączności z przedstawicielami obozu narodowego z innych zaborów.

Gdy po wydaniu przez monarchów centralnych aktu 5 listopada 1916 r. (głównie w celu wywarcia nacisku na Rosję o zawarcie odrębnego pokoju na zasadzie stanu terytorjalnego przedwojennego), we Lwowie i w całym kraju składano hołdy dziękczynne za rzekome wskrzeszenie Polski, Rozwadowski wraz z innym członkami obozu narodowego ogłosił publiczną deklarację, piętnującą ten akt jako nowy zamach na Polskę, której naród jest jednym i niepodzielnym, i domagającą się zjednoczonej Polski. Podobnie w r. 1917, gdy 22 stycznia 1917 Wilson ogłosił swe orędzie do Kongresu, w którem uznał prawo Polski do bytu niepodległego, przedstawiciele trzech zaborów, Dmowski Roman, Rozwadowski Jan i Marjan Seyda — przesłali Wilsonowi dziękczynny adres, wykazujący, że akt 5 listopada jest sprzeczny z jego orędziem. Zgodnie z życzeniem tajnego Komitetu trójzaborowego w kraju, ś. p. Jana Rozwadowski nalegał na utworzenie jawnej organizacji politycznej w Szwajcarji, reprezentującej wszystkie dzielnice Polski. Organizacja taka w postaci Narodowego Komitetu Polskiego istotnie przyszła do skutku w Lozannie z początkiem sierpnia r. 1917 z Romanem Dmowskim na czele, a Rozwadowski od początku wszedł w skład tego Komitemu.

Wiosną r. 1918 ś. p. Rozwadowski brał udział w Kongresie w Rzymie, na którym członkowie Komitetu Narodowego wraz z Janem Zamorskim uzgodniali żądania Włoch z południowymi Słowianami, oraz stosunki z Czechami. Z jego inicjatywy i M. Seydy, a we Włoszech z inicjatywy Zamorskiego, wydzielono jeńców polskich z ogólnych obozów jeńców i traktowano ich łagodnie i życzliwie, a wielu obdarzano wolnością.

Po wojnie od r. 1920 ś. p. Rozwadowski mieszkał we Lwowie, gdzie był dyrektorem Banku Ziemskiego, i do końca żywo interesował się sprawą publiczną, zwłaszcza Małopolski Wschodniej.

Po zaszczyty i nagrody nie sięgał, zasług swoich nie rozgłaszał. Nagrodę znajdował we własnem sumieniu i w miłości przyjaciół politycznych. Pogrzeb ś. p. Rozwadowskiego był piękną manifestacją żałobną. Lwów umie kochać. Całe społeczeństwo, zawsze ze Lwowem współczujące, dzieli z nim żywo ciężką stratę. W.

NA MARGINESIE

Obywatel starszej daty zapytuje posła z BB, co znaczy wyraz tempo, powtarzany coraz częściej przez polityków.

— Tempo — to szybkość zmian w kierunku postępowym. Dam panu przykład. W Ameryce przed laty widziano na drodze samochód raz na miesiąc, potem widziano tę nowość co tydzień, potem codzień, potem co godzina, co minuta, aż teraz auta ciągną tam drogą ciurkiem—jeden za drugim. Jednem słowem, coraz szybsze tempo...

— Teraz rozumiem. U nas w mieście przed laty widywało się żebraka raz na miesiąc, potem zachodził żebrak raz na tydzień, potem przychodzili już codzień, od kilku lat co godzina, teraz co minuta, a nawet płyną jeden za drugim i gromadzą się w ogonkach. To jest też tempo.

*

W tym miesiącu otwarto w jednej z sal IPS-u wystawę projektów na pomnik marszałka Piłsudskiego. Wśród pokazanych modelów zwracał uwagę jeden, zatytułowany „Wieża organ". Załączone objaśnienie motywowało celowość tego rodzaju monumentu, wskazując na jego wieloraką użytkowość.

Poniżej zamieszczamy, dosłownie, szereg wyjątków tego objaśnienia, z zachowaniem ortografji:

„1) Wysokość od poziomu terenu wraz z masztem wynosi 100 metrów".

„2) Zbudowana jest z polarowanych chromoniklowych rur stalowych, jest pomnikiem, a zarazem instrumentem muzycznym..."

„4) Pod wieżą znajduje się wnętrze, rodzaj kaplicy z instalacją mechanizmu organowego, oraz windy prowadzącej na szczyt wieży".

„5) W fundamentach wieży znajdują rezerwoary dwóch rodzaji (!) ciśnień sprasowanego powietrza.

Rezerwoary te połączone są z komorą pemp..."

„7) Wieża jest połączona z ważniejszemi punktami miasta tunelami, któremi można się do niej dostać w celach obsługi, jak również na trybunę, która się znajduje na cokole wieży pod zawieszonym pierścieniem".

„8) Zabezpieczenie przeciw wpływom atmosferycznym przez centralne ogrzewanie oraz rozpylanie automatyczne rur w oliwę w miarę potrzeby" (?)

„9) Na szczycie środkowej rury, w której jest winda, umieszczony jest maszt do wywieszania sztandarów, a szczyt masztu jest zaopatrzony w ostrzegawcze latarnie lotnicze".

„10) ...w dolnej części wnętrza umieszczona klawiatura wraz z mechanizmem, w p r o w a d z a j ą c y w c z y n c a ł y o r g a n (!!). G ł o s y w y d o b y w a j ą c e s i ę z t e j c z ę ś c i o r g a n u, m a j ą u j ś c i e s z c z e l i n ą, przebiegającą pod płytą trybuny".

„...O b o k c o d z i e n n e j p r a c y, o r g a n, któryby budził w narodzie swoją melodją wznioślejsze porywy tak w mieszkańcach stolicy jak i na falach eteru w całym kraju, dałby wybitnym kompozytorom i artystom możliwość przejawiania indywidualnych twórczości (!) zapomocą tego potężnego instrumentu".

„Byłby s y m b o l e m o s t r z e g a w c z y m (?) stolicy przed atakami wroga, a podziemia jego kryłyby cenne zapasy powietrza, zasilające schrony w czasie napadu".

„Pozwoliłem sobie na dalekie odstępstwo co do ewentualnych kosztów zrealizowania mego pomysłu, ale kierowałem się tem, że z a c e n ę o b j ę t ą w a r u n k a m i k o n k u r s u, w s z c z u p ł y m t y l k o z a k r e s i e m o ż n a b y b y ł o u w y p u k l i ć s y m b o l a m i"...

Godło projektu: „O r g a n". Szczegółów nie podano.

TREŚĆ:

Po dniu 23 marca *J. Rembielińskiego.* — Emigracja polska po powstaniu styczniowem *St. Didiera.* — Bizantynizm *K. S. Frycza.* — Radość zbliżenia *J. Bułhaka.* — Naukowe studjum literatury a krytyka literacka *St. Cywińskiego.* — Na widowni *Z. Wasilewskiego.* — Głosy. — Nauka i literatura („Polonica w Niemczech” i t. d.) — Teatr *S. J. G.* W. — Ze świata sztuki — Film *Kandyda.* — Zmarli. — — Na marginesie.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM